

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 26 STYCZNIA 1929 ROKU

NR. 4.

TREŚĆ NUMERU: Przystań desperatów — *Stefania Podhorska-Okolow*. Nowe prądy wychowawcze w Niemczech — *L. R*. Poezje: „Notatki z podróży” — *Felicja Kiuszewska*. Skłamanie szczęście — *M. H. Szpyrkówna*. Jak pani Niuśka zmieniała służącą (dok.) — *Eugenja Masiejewska*. Korespondencja z Anglii — *Han. Skar*. Paryski „Sylwester” 1928 — 1929 — *J. Putiatycz Surynowa*. U artystów-plastyków — *I. j.* Z teatrów — *H. N.* Z książek — *a. m.* Kobieta w świecie i w domu — *j. k.* *N. J. N.* Jak pracują kobiety — *Zofja Miszewska*. Uśmiechajmy się — *Róża Czechańska - Heymonowa*. Kursy im. Staszica dla gospodyń wiejskich — *M. Karcewska*. Odżywianie a zdrowie — *Morja Morzkowska*. Sosy (dok.) — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Pod suknie balowe — *Well*. Dodatek powieściowy „Oblubieńcy” — *M. Benisławska*. Arkusz wzorów.

PRYZYSTAŃ DESPERATÓW

„W zeszłym miesiącu targnęły się na życie 102 osoby, w tej liczbie 13 z wynikiem śmiertelnym.”

Sucha dziennikarska notatka w rubryce wypadków. Sto dwu samobójców i samobójczyń; z tych, na szczęście, tylko trzynastu nie udało się odratować. A co się stało z pozostałymi? Dokąd poszło tych osiemdziesiąt dziewięć istnień, które na przełęcz śmierci doprowadziła rozpacz? Kto się niemi zajął, kto nieszczęsnym podał dłoń przyjazną, kto dopomógł im się dźwignąć z otchłani, w którą zepchnął je głód lub miłość zawiedziona? Ciało wrócono wprawdzie do życia, ale co się stało z ich osamotnionymi duszami?

Oto pytania, nad którymi każdy z nas powinien się zastanowić i rozstrzygnąć je w imię uczucia ludzkości i dobrze zrozumianego interesu społeczeństwa.

Najróżnorodniejsze bywają przyczyny samobójstw. Czasem chwilowe rozdrażnienie, kryzys nerwowy, sprzeczka rodzinna lub małżeńska, nietakt osoby ukochanej, nadużycie alkoholu lub narkotyków — powoduje chorobliwy gest historyczny, z istotnym tragizmem życia nie mający nic wspólnego. Gwałtowny wstrząs, jeżeli tylko nie skończy się śmiercią, na przypadkowego desperata oddziałują raczej trzeźwiaco. Wyładowując nadmiar nagromadzonej goryczy, odbiera raz na zawsze ochotę do niebezpiecznych eksperymentów z rewolwerem, trucizną lub postronkiem. Nauczka drogo kosztuje, ale opłaca się z nawiązką. Takich samobójców nikt nie bierze na serjo. Inna sprawa, że to są ludzie albo niepoczytalni, albo duchowo nieopanowani, i że w pierwszym przypadku należy ich leczyć, w drugim — wychować.

Nas obchodzą przedewszystkiem ludzie normalni, których do samobójstwa doprowadza nieszczęście. Przez jaką gehennę klęsk, upokorzeń, zwątpienia, bezsilnego szamotania się w próżni, potępieńczych skoków od nadziei do rozpacz — przejść musi człowiek, aby nad instynktem samozachowawczym, nad wrodzoną wolą do życia zapanowała decyzja śmiertelnego rozrachunku! I choć w założeniu swoim samobójstwo jest ucieczką przed życiem, dezercją ze straconej placówki, a więc aktem tchórzostwa, — to jednak w wykonaniu jest prawie zawsze aktem odwagi, wywołanym przez wielką, choćby dla otoczenia niezrozumiałą, namiętność. Natury, zdolne do wielkich namiętności, są to natury bogate i nieobliczalne, przerzucające się łatwo z jednego bieguna krańcowości na drugi. Musimy to wziąć pod uwagę, aby nie lekceważyć niedoszłych samobójców, jako materiału społecznego, lub zbyt pochopnie go nie przeceniać.

A teraz przypatrzmy się, co się dzieje z tym materiałem. Weźmy pierwszy z brzegu klasyczny przykład:

„Weronika Z. — pracownica igły, lat 18, truła się esencją octową. Przewiezioną do szpitala Dzieciątka Jezus młodą desperatkę udało się uratować.”

Historja jasna, jak dzień. Młodziutką, niedoświadczoną dziewczynę ktoś rozkochał i porzucił. Czy uwiódł? Może tak, może nie. Prędeż — tak. Została sama ze swym bólem, wstydem, zawodem serdecznym. Nie mogła znieść ironicznych uśmiezków, złośliwych przytyków, tego okrucieństwa ludzkiego, które z taką skwapliwością pastwi się nad istotą bezbronną i spowiewieraną. Ale silniej, niż naganka obcych, dopie-

kała tortura samoudręki. Poczucie niezasłużonej krzywdy i duchowego osamotnienia. Zaco? Dlaczego? Niewątpliwie, nim doszła do kresu rozpacz, szukała oparcia, pomocy, opieki, rady, dłoni przyjaznej. Kogoś, któryby łączył dziecko, mającego zostać matką, utulił. Szukała — nie znalazła. Wypiła truciznę. Alarm, pogotowie, szpital, skandal. Zwykła procedura. Epilog z warjantem: „uratowana“.

Uradowana! Ileż ironji jest w tem słowie! Od czego ją uratowano? Od śmierci? która nieszczęsnej zdawała się wyzwoleniem. A któż ją uleczy od życia, które stało się torturą? Pytanie bez odpowiedzi. Pani Dulska wymówiła mieszkanie lokatorce, która się truła...

Weźmy przykład drugi.

„Wczoraj wystrzałem z rewolweru usiłowałem się pozbawić życia Bronisław S., zredukowany urzędnik, lat 50. Wezwany lekarz pogotowia stwierdził ranę postrzałową płuc. Przyczyna zamachu samobójczego — brak środków do życia“.

I znów stajemy u wylotu czyjejs drogi krzyżowej. Tym razem desperat—to człowiek starszy, poważny, zrównoważony. Najpiękniejsze lata życia strawił przy biurku. Zatracił zdolność inicjatywy, samodzielnego myślenia, twórczej energii. Ale był wykonawcą dobrym, pracownikiem sumiennym. Przyszła redukcja. Kilka miesięcy zeszło na wydeptywaniu schodów, na wysiadaniu stołków w poczekalniach, na pisaniu ofert, które pozostawały bez odpowiedzi. Pierwszeństwo miały siły młodsze, lepiej wykwalifikowane. Powoli wyprzedali z żoną drobne klejnociki, pamiątki rodzinne, lepszą garderobę. A posady nie było. Człowiek zdrowy, jeszcze niestary, zdolny do pracy, zaczął duchowo próchnieć. Ciężwł i sobie i rodzinie. Czuł się niepotrzebnym. Jeszcze jedna, ostatnia nieudana próba i następuje tragiczne załamanie. Śmiercionośna kula omija serce. Rani, ale nie zabija. Znów jeden desperat „uratowany“. Do czego wróci? Do nędzy bezrobocia? Bo przecież takim, co się „strzelał“, któż da posadę?...

Niedawno w jednym z naszych pism codziennych ukazał się artykuł p. t. „List, pisany krwią“. List do redakcji pisał młodzieniec, którego jeszcze niemal w czasach szkolnych brak rodzicielskiej opieki i złe towarzystwo pchnęło na fałszywą drogę. Zaczął kraść. W więzieniu dopiero zdał sobie sprawę z ohydy swych postępów. Wypuszczony na wolność, chciał wrócić do życia uczciwego. Zapisał się na kursy handlowe, zaczął się starać o posadę. Ale wszystkie jego zabiegi trafiały na martwy punkt. Nikt nie chciał przyjąć osobnika, który odsiedział w więzieniu karę za kradzież.

Fatalna przeszłość zamknęła go w potrzask bez wyjścia. Znalazł się znów na krawędzi przepaści. I wówczas błysnęła mu myśl napisania listu do redakcji.

Z tonu tego listu czuć, że to ostatnia próba. Nie chce pieniędzy: — „te przeklęte pieniądze doprowadziły mnie do upadku!“ — błaga o pracę.

Nie wiem, czy ten list, „pisany krwią“, osiągnął właściwy rezultat; przypuszczam, że tak, i w takim razie jeden niedoszły samobójca naprawdę został uratowany, nie tylko w znaczeniu fizycznym, ale i moralnym.

O tę doraźną pomoc, o ten ratunek istnień, zagrożonych śmiercią duchową lub cywilną, przede wszystkim nam chodzi. Istnieje Pogotowie Ratunkowe od nagłych wypadków. Stwórzmy przystań dla niedoszłych lub „uratowanych“ samobójców, poradnię dla wykojeńców, którzy mają za mało siły woli, aby samodzielnie zawrócić na drogę prawą; dla katorżników życia, którym trzeba z bark ująć nieco ciężaru; dla niewinnych ofiar zawodów serdecznych, które napróżno wokół siebie szukają cienia nadziei. W porę podana dłoń siostrzana, słowo życzliwe, atmosfera ciepła i przyjazna, możliwość wywnętrzenia się przed powolnym słuchaczem ze swoich najskrytszych trosk i udręczeń, — to już bardzo wiele. Dodajmy do tego zdrową inicjatywę, szybkość orientacji i tę intuicję kobiecą, która umie znaleźć wyjście tam, gdzie go pozornie niema, a będziemy mieli w ogólnych zarysach tło psychologiczne, na którym pogodnie rozwiązywać się będą konflikty, ginące dotychczas w mroku statystyki samobójczej.

Padło powyżej słowo: „intuicja kobieca“. Samo przez się zrozumiałą jest rzeczą, że kierowniczkami „Przystani“ musiałyby być kobiety. Nietylko dlatego, że mają najwięcej czasu, dobrej woli i że najchętniej słuchają zwierzeń. Ale także dlatego, że nikt tak, jak kobieta, nie umie chodzić za cudzemi sprawami, wykopać z pod ziemi posadę, wyciągnąć tonącego za uszy z topieli, tchnąć w manekina duszę, a w dobrowolnym skazańcu na śmierć obudzić wolę do życia.

Ten moralny, krzepiący wpływ powinien być głównym zadaniem „Przystani“. Charakter jałmużniczo-filantropijny musi być zgóry wyłączony. Dosić mamy instytucyj, dających bony, wsparcia, zapomogi.

Trzymajmy się jaknajdalej od pieniędzy, jeżeli chcemy uniknąć procesji sprytnych symulantów, spekulujących na ludzkim współczuciu i łatwowierności. Uniwersalnym niemal zabiegiem leczniczym „Przystani“ powinna być praca. Praca nie tylko zarobkowa, ale ideowa w tych wypadkach, gdzie jednostka o pełnej kieszeni choruje na pustkę życia. Praca i dyskrecja. „Przystań“ musi być Sezamem, który zatrzaskuje się bezpowrotnie nad tajemnicą ludzkiej niedoli. Wiadomo, że natury skryte łatwiej zwierzą się ze swych bólów i tajonych pragnień przed człowiekiem zupełnie obcym, z którym mogą później nigdy nie spotkać się w życiu, niż przed kimś z rodziny lub

najbliższego otoczenia. Ale muszą mieć do tego „obcego“ człowieka bezgraniczne zaufanie, muszą wierzyć w to, że on ich nie „zdradzi“. I w jakimkolwiek stanie duszy przekraczaliby próg „Przystani“, wyjść z niej powinni z przekonaniem, że są dla życia potrzebni, że jest na świecie ktoś, który wierzy w ich siły, który się po nich czegoś spodziewa, który im współczuć i współdziałać z nimi potrafi.

Wzajemna wiara musi być fundamentem tej instytucji ratowniczej, którą powołać do życia może tylko dalekowidzący rozum społeczny, skoordynowana wola kilku mocnych, a ofiarnych jednostek, zdolnych wyrzucić sugestię moralną na „pacjentów“, a przede wszystkim — wielkie ukochanie człowieka, przełamujące mur samotności, jakim desperat odgradza się od życia.

Stefanja Podhorska-Okołów.



NOWE PRĄDY WYCHOWAWCZE W NIEMCZECH

(Szkoły leśne. Wiejskie ogniska)

Jak sprawić, by młodzież wielkowiejska, spędzająca większość życia wśród ciasnych murów miasta i śwedu benzyny, mogła obcować z przyrodą nie tylko w czasie wakacyj? I jak sprawić, by młodzież ta mogła jednocześnie ulegać wpływowi tak potężnego czynnika wychowawczego, jakim jest społeczność pracy? Nad zagadnieniami temi zastanawiało się już dawno wielu pedagogów wychowania społecznego. Poczynając od końca ubiegłego stulecia, różne ukazywały się próby rozwiązania. Jedną z wielu było zakładanie szkół, połączonych z internatami, na wsi. (Ecole de Roches Demolins'a, niemieckie—H. Lietza). Wszystkie te t.zw. „nowe szkoły“, chociaż niewątpliwie wprowadziły do wychowania zarówno czynnik przyrody, jak społeczności pracy, nie rozstrzygnęły jednak omawianego problemu, a to z dwóch powodów. Przede wszystkim, szkoły te muszą pobierać wysokie opłaty, skutkiem czego są dostępne tylko dla dzieci zamożnych rodziców. Powtórę, usuwają one dziecko z pod wpływu wychowawczego rodziny, co w normalnych warunkach nie jest wskazane. Inną próbę rozwiązania stanowią t. zw. szkoły w lesie, które zaczęły powstawać od r. 1904 — z początku w Niemczech, później w innych krajach, dzięki inicjatywie d-ra Neufferta. Zadaniem ich jest zapewnić zdrowe warunki pracy szkolnej dzieciom wielkowiejskim, bądź to zagrożonym chorobą, bądź też przychodzącym do sił po chorobie. Szkoły w lesie zakładane są w pobliżu wielkich miast. Młodzież przyjeżdża do nich zrana, spędza w nich cały dzień, ucząc się i odpoczywając na świeżym powietrzu, na wieczór zaś powraca do domów rodzicielskich w mieście. Szkoły te nie mają stałych uczniów. Korzystają z nich dzieci, wybrane przez lekarzy szkolnych z licznych

szkół danego miasta, dopóki się nie poprawią na zdrowiu, poczem powracają do swej szkoły wielkowiejskiej, ustępując miejsca nowym zastępom słabowitych. Pobyt dziecka w szkole leśnej zazwyczaj trwa od kilku tygodni do 6 miesięcy i dłużej. Jak więc widzimy, szkoły leśne służą celom leczniczym i higienicznym.

Przejdźmy teraz do innego rodzaju szkół: do t. zw. wiejskich ognisk wychowawczych szkół wielkowiejskich (Schullandheim). Stanowią one nowy sposób rozwiązania omawianego zagadnienia. Z „nowymi szkołami“ mają to wspólnego, że podobnie, jak one, stawiają sobie za cel przywrócenie w wychowaniu zarówno czynnika przyrody, jak społeczności pracy. Jednakże w przeciwieństwie do nich chcą mieć charakter instytucji demokratycznej, dostępnej dla wszystkich dzieci zarówno szkół średnich, jak i powszechnych. Dlatego podobnie, jak szkoły w lesie, są one przeznaczone dla młodzieży, dojeżdżającej z wielkich miast. Tylko że młodzież przybywa tu klasami szkolnymi i nie dla leczenia się, lecz dla wspólnej pracy w swoim ogrodzie, na swoim zagonie, w gospodarstwie domowym, oraz dla poznania kraju, zbliżenia się do wsi, do ludu, wreszcie dla uprawiania zabaw i sportów w pięknym i zdrowym otoczeniu. Chodzi przytem o to, by szkoły te znajdowały się w okolicy, której przyroda i lud mogą mieć dla dzieci wielkowiejskich urok nowości. Z tych względów szkoły miast, położonych na równinie, starają się zakładać swoje ogniska w górach, zaś szkoły miast, posiadających górzyście okolice, chętnie wysyłają swoją młodzież nad morze.

Teraz już łatwiej zrozumiemy, czem są wiejskie ogniska wychowawcze szkół wielkowiejskich. Są to

domy na wsi, należące bądź do jednej szkoły wielkomiejskiej, bądź do związku takich szkół. Domy te są zagospodarowane, mają swój inwentarz żywy, a często i pole uprawne. Gospodarstwo prowadzi stale przebywająca na miejscu gospodyni. Reszta mieszkańców — klasy szkolne, które tu zjeżdżają kolejno wraz ze swoimi opiekunami — to żywioł ruchomy. Pobyt jednej klasy trwa od dwóch dni (sobota i niedziela) do czterech i dwunastu tygodni. Niektóre ogniska są w zimie zamknięte, inne zapełniają się młodzieżą w ciągu całego roku kalendarzowego. Wszystkie są czynne zarówno podczas feryj szkolnych, jak w czasie zajęć, czem wyraźnie różnią się od domów wycieczkowych i kolonij wakacyjnych, czynnych tylko podczas świąt i wakacyj.

Inicjatorem wiejskich ognisk wychowawczych jest dyrektor szkoły żeńskiej im. Wiktorji we Frankfurcie n. M., dr. Ferdynand Reinhold. W r. 1918 wpadł on na pomysł założenia dla swej szkoły ogniska wychowawczego na wsi. Władze szkolne po pewnym wahaniu dały na to pozwolenie, rodzice dostarczyli środków pieniężnych, i oto w r. 1919 powstało pierwsze ognisko wychowawcze w tanio wynajętym domku, położonym wśród gór Taunus. Próba wypadła pomyślnie, rozpraszając obawy przeciwników, które dotyczyły przede wszystkim finansowej strony śmiałego pomysłu. Chodziło o to, czy wydatki, związane z utrzymaniem ogniska na wsi, nie obciążą zbytnio kieszeni rodziców. Okazało się, że środki się znalazły. Czerpano je ze składek rodziców, naddatków zamożniejszych z pośród nich, z przedstawień, koncertów i zabaw, urządzanych przez szkołę, wreszcie z opłaty za utrzymanie, które od jednego dziecka w tem ognisku wynosiło 3 m. 50 pf. dziennie (w wielu innych nie przekracza 1 m. dziennie).

Znacznie ważniejszą była druga wątpliwość. Wyrażała się ona w pytaniu, czy nauczanie szkolne nie ucierpi wskutek tych inowacyj? Okazało się, iż w szkole wynikają pewne trudności skutkiem tego, że klasie wyjeżdżającej muszą towarzyszyć jedna lub dwie siły nauczycielskie, które zazwyczaj dają również lekcje w innych klasach. Stąd wynika konieczność ich zastąpienia. Okazało się też, że nauka w ognisku nie może być tak systematyczna, jak w klasie szkolnej. Ilość lekcji redukuje się tu do 2—4 godzin dziennie. Jest to przytem nauczanie okolicznościowe, t. zn. takie, do którego tematów dostarcza otoczenie. Wobec tego na pierwszy plan wysuwają się tematy przyrodnicze, geograficzne, astronomiczne, choć, oczywiście, nie brak także sposobności do poruszania zagadnień historycznych, językowych i literackich. Lecz właśnie dzięki takiemu zbliżeniu nauczania do życia, osiąga się tu, nawet w dziedzinie wykształcenia umysłowego, tak dobre wyniki, iż kompensują one całkowicie poniesioną stratę. Główne jednak korzyści, płynące z ognisk wychowawczych,

leżą w dziedzinie wychowania moralnego. Dr. Reinhold dopatruje się ich przede wszystkim w tem, iż młodzież w ognisku żywa się znacznie lepiej ze sobą, niż w klasach szkolnych, a przytem pozostaje pod nieustannym wpływem wykształconej, stojącej na wysokim poziomie moralnym i całkowicie jej oddanej, siły wychowawczej, która tu ma więcej sposobności do wychowawczego oddziaływania, niż podczas zwykłych lekcji szkolnych. Głównym jednak wychowawcą staje się społeczność, do której, siłą rzeczy, należą nietylko uczniowie i uczennice, lecz i nauczyciele. Społeczność ta wymaga przede wszystkim porządku. Codzień w ognisku szkoły żeńskiej Reinholda wychowawczynie obchodzi wszystkie izby i bada wprawnym wzrokiem, czy łóżka dobrze posłane, czy bielizna gładko ułożona w szufladach, czy ubrania powieszono należycie, czy jaki włos nie pozostał na grzbiecieniu? Po wieczerzy każda izba otrzymuje ocenę z porządku, której uczennice oczekują prawie z takim samym napięciem, jak oceny za pracę szkolną. Wkrótce wytwarza się duch klasy, wymagający od jednostki chętnego podporządkowania się całości, duch, nie tolerujący braku uprzejmości, samolubstwa, bezwzględności.

Wiele dzieci nie ma rodzeństwa. Nie mogą więc one wobec tego nabyć cnót społecznych w rodzinie. Jakże dobrze wpływa na nie kilkutygodniowy pobyt w ognisku wiejskim, gdzie stają się członkami jednej wielkiej rodziny! Niektóre rozpieszczone dzieci dziwią się z początku, że tutaj muszą czyścić sobie obuwie, słać łóżko, sprzątać, obierać ziemniaki do obiadu, ciągnąć wodę ze studni, usługiwać innym przy stole. Wkrótce jednak wciągają się w ten rodzaj pracy i poczynają w niej widzieć miły obowiązek. Wszelkie różnice stanowe się zatracają.

W mieście niepodobna tego osiągnąć. Chociaż bowiem podczas nauki szkolnej wszystkie dzieci traktuje się jednakowo, to jednak po lekcjach jedne z nich idą na ślizgawkę, a inne muszą pomagać ojcu w warsztacie, albo matce w kuchni. W ognisku nie ma bogatych i biednych. Nikomu nie wolno mieć tego, czego nie mają towarzysze(ki). Gdy jedno dziecko otrzyma z domu paczkę ciastek, musi oddać ją klasie do równego podziału!

Sprawozdanie dr. Reinholda świadczy o tem, że podjęta przez niego próba została uwieńczona zupełnym powodzeniem. To zachęciło inne szkoły do naśladownictwa. Już w r. 1921 pruskie ministerstwo oświecenia publicznego poleciło władzom drugiej instancji zakładanie tego rodzaju urządzeń.

Odtąd sprawa nabiera rozgłosu, wytwarza się ruch w kierunku zakładania ognisk i liczba ich poczyna szybko wzrastać. W tej chwili ilość ognisk wzrosła do 120. Z nich 100 służy poszczególnym szkołom zarówno elementarnym, jak średnim, a pozostałych 20 należy do związku szkół.

L. R.

FELICJA KRUSZEWSKA

NOTATKI Z PODRÓŻY

1. WARSZAWA

Zahuczała krew w uszach, jak dzwony,
 łzy zakłuty pod powiekami.
 Zazgrzytały, popędziły wagony,
 gęstą ciemność przesywając oknami.

2. GOŁĄBKI

Dom pozostał na prawo, z boku —
 w ciemne okna patrzyłam strwożona.
 Tylko drzewo, jedno drzewo wysokie
 wyciągnęło za pociągiem ramiona.

3. KALISZ

Wiatr coś gwizdał, drobny śnieżek prószył,
 szron na polach leżał, jak siwizna,
 las przy drodze gałązkami poruszył
 — a to wszystko była jeszcze: Ojczyzna.

4. ZBĄSZYŃ

Nic nie stało się tajemnicze,
 nie zmieniło się nic w serca biciu.
 Tak nieznacznie, jak to zwykle w życiu,
 przebiegła pod kołami granica.

5. FRANKFURT

Podróż — to czarodziejstwo prawie,
 przekręcenie klucza w wielkiej furcie.
 Można zasnąć ze łzami w Warszawie,
 a przebudzić z uśmiechem w Frankfurcie.

6. BERLIN

Jak ogromna chmura się pojawił
 Berlin jeszcze ciemny i zaspany,
 biegł z pociągiem i po bokach ustawiał
 szare, gładkie, jednokowe ściany.

7. BERLIN-TIERGARTEN

Tiergarten jest naprzeciwno,
 a w nim przeróżne stworzenia.
 Choć nie mogą nic o mnie wiedzieć,
 posyłam im pozdrowienia.

8. HANOWER

Miedź, szafir, złoto, cynober,
 ulice wysmukłe, w podskokach.
 Na mapie to tylko Hanower,
 a dla mnie miasto w obłokach.

9. DORTMUND

Na zmarzniętym powietrzu błękitnie
 ognie pod Dortmundem tańczyły.
 Można było krzyknąć w zachwycie,
 tylko że nie było już siły.

10. REN

Ren ogromny, czarny, połyskliwy
 podbiegł nagle, jak bajkowa rzeka.
 Na fal gładkich najpiękniejsze szkliwo
 aż trzy sznurki światel ponawlekał.

11. PARYŻ

Paryż lampami zakrzyczał,
 jak wino uderzył do głowy
 i popędził nieznana ulicą
 tajemniczy i kolorowy.



M. H. SZPYRKÓWNA

SKŁAMANE SZCZĘŚCIE

I.

Dzień mego ślubu!

Są okresy życia tak nieprawdopodobne i tak szybko się zmieniające, że zdaleka, z perspektywy czasu, wyglądają, jak film. Los jest jednak kapryśnym reżyserem! Czasem, puściwszy wiele metrów barwnej taśmy, nagle urywa ją w miejscu najmniej spodziewanym — i następuje długie, nudne, białe nic. Albo wogóle przekreśla wszystko poprzednie, jakgdyby niezadowolony z wyniku, i zaczyna odnowa przedwznowienie reżyserowanie niesfornych składników podług sobie wiadomego planu. A straszne jest to, że człowiek, który jest bohaterem i zarazem aktorem, nie wie częstokroć, czego się po nim życie spodziewa i czego żąda? I nie podejrzewa nawet, że sława i bogactwo, powodzenie i fortuna spływają mu w ręce jedynie, jak aktorowi — dziane szychem kostjumy z teatralnej rekwizytorni! Kurtyna zapadnie — i znowu zostanie cofnięte dla innego krótkoterminowego bohatera. A jednak wieleż czaru ma nawet chwilowe złudzenie! I jakże olśniewa oczy nawet korona z szychu, jeżeli nagle da nam ją w ręce los!

Kiedy wychodziłam zamąż, wszystko się sprzyściło, abym miała złudzenie, że szych, którym życie sypnęło mi nagle w oczy, jest najprawdziwszem złotem. Moje osiemnaście lat były jeszcze tak dziecinnie naiwne! Wprawdzie istniały ciemne luki, wprawdzie jakimiś szparami świadomości czołgał się czasem niepokój... Ale, naogół, życie stało się nieprawdopodobnym filmem, który sunął za szybko przed memi oczarowanymi oczami, abym miała czas sprawdzać, rozważać i zestawiać. Żyłam! Prostu żyłam! I czyż zresztą wiele młodych dziewczynek na moim miejscu miałyoby czas i — powiedzmy: rozum! — odprawiać rekolekcje wtedy, kiedy wszystko zapowiadało karnawał?!

W dniu, który poprzedzał mój ślub, nie miałam czasu wprost technicznie. Formalności, jakie musiałam wraz z narzeczonym załatwiać, pakowanie rzeczy, z których część jechała z nami, a część nadeszła bagażem i miała być odstawiona osobno; ostatnie rozmowy z ciotką i jej morały przed wypuszczeniem mnie w świat — wszystko to zabrało czasu tyle, że absolutnie nie mogłam złapać tchu. Dopiero wieczorem około dziesiątej mój narzeczony wstał, aby się pożegnać, i, całując w rękę ciotkę Gertrudę, powiedział do mnie, ponad jej majestatyczną koronką z piórkami (szczegół, który zawsze czynił dla mnie obraz mojej opiekunki podobnym do papugi z czubem nad hakowatym dziobem):

— A z panną Haneczką dziś już nawet nie próbuję dokończyć wszystkich rozmów. Liczę, że od jutra będzie na nie więcej czasu!

Od jutra! Odprowadziłam go do furtki naszego pensjonatu, gdzie jeszcze raz się ze mną pożegnał.

— Moja królewna ma dziś takie zimne rączki! Czy to znaczy, że serduszko jest, jak powiadają ludzie, gorące?.. Ha! Przekonamy się! Proszę iść przedziutko się położyć. Świętobliwi ojcowie uparli się, że później, jak o ósmej, cichego ślubu nie dadzą. To zresztą nawet i dobrze: potem byłaby masa gapiów. A jestem zazdrosny o złotowłosiątko!

Zazdrosny o mnie! To jedno było mało do barona podobne. Wyglądał zawsze nieprzenikniony, jak piękna maska. Nie wiedziałam nigdy, co myśli naprawdę! Nie wiedziałam nigdy, dlaczego właściwie on, taki świetny, taki zagraniczny pan, — oświadczył się o mnie, małą prowincjonalną z Białowieskiej puszczy? Rozumiałam, że tego nie zgłębię: tak wiele przebieglejsze odemnie siły rzucały mną od owej chwili przed trzema laty, kiedy z cichego dworku zostałam nagle ciśnięta w wir miejskiego życia! Marzyłam o wielkiej, złotej karierze — i stało się! Robiłam większą, niżby przypuścić można, i to w tempie zawrotnej szybkości. Rok w najwykwintniejszym pensjonacie, który ze mnie zrobił poprawną panienkę z towarzysztwa; rok u ciotki, w jej złoconej klatce z papugami i mopsami, gdzie sama zaczynałam się czuć antykiem; ultra - moderne otoczenie u mojej pięknej i światowej kuzynki Lorci w dosyć zbytkownego, obszarniczego, by tak rzec, życia na wsi; potem — poznanie barona, wyjazd zagranicę, kalejdoskop świetnych, nowych wrażeń; Riviera, Niceja, Monte Carlo — oświadczyzny barona — i wprost z ekspresu, który mnie z ciotką wyrzucił na granicy, „byłam oto w zakopiańskim pensjonacie z widokiem na Giewont i góry, pod cichymi gwiazdami tej ostatniej mojej przedślubnej nocy. Rano ksiądz - zakonnik miał dopełnić nademną najważniejszego dla kobiety obrządku, który stanowi o całym jej życiu, a który nazywa się — ślub!

Wracałam od furtki powoli. Siwy potok kłębił się i szumiał tuż pod naszą werandą. Ciotka już odeszła do siebie. Zgasiałam światło, usiadłam na oknie i usiłowałam zebrać myśli. Nie! Nie dawało się! Miałam w głowie pusty szum, jak w muszli. Nawet cudowna, cicha noc nie przynosiła uspokojenia. Zamknęłam okno i z kufra podróżnego, już naznaczonego mojemu przyszłemu literami i herbem, wyjęłam owinięty w kawałek irchy, złożony po brzegach, prześlicznie wyciskany w skórce florentyńskiej, pa-

miętnik. Prezent od Lorci na urodziny, już kiedy byliśmy zagranicą i widziała, że mój narzeczony istotnie o mnie się stara. Nie umiałam nigdy zgadnąć, czy stosunek jej do tego faktu był przyjazny, wrogi, czy tylko poprostu ironiczny — jak jej było najwłaściwsze. W każdym razie, wręczając mi go, powiedziała z właściwym sobie, ślicznym dąsem:

— Ostatecznie, mnie się nie zwierzasz z czułości barona, a komuś powiedzieć o tych sprawach, to by ci dobrze zrobiło! Spróbuj pisać pamiętnik, jak młodej panie przynależy: podobno ma to być bardzo pedagogiczne!

Nie pisałam go dotąd. Tego jednak wieczoru czułam tak szczególny stan psychiczny, jakgdybym była w środku mgły. Wiedziałam, że otacza mnie jakaś nieprzenikniona i gęsta obcość, coś nieprzejrzyściego, co przeszkadza widzieć rzeczy i sprawy w ich prawdziwym, właściwym oświetleniu. A jednak, rozgarnąć jej nie miałam sił i... odwagi! Ach, cóż mi zostawało, jak nie małżeństwo z baronem?... Od skromnej leśniczówki odzwyczaiłam się już tak bardzo! Pokoik na podstryszu, perkalowe sukienki, kury, króliki i gołębie; staruszkowie z ich cichutkim, skromniutkim trybem, gdzie ksiądz i aptekarz byli największymi luminarzami... To już było nie dla mnie! Zabardzo się przyzwyczaiłam do codziennej kąpieli, do pachnącej bielizny, do zbyt kownych sukienek i okryć! A nie miałam nawet na parę pończoch, o ile nie dała mi na nie ciotka. A każda para pończoch od ciotki ciężko się kładła na duszę odpowiednim morałem i przypomnie-

niem, że jestem ubogą dziewczyną bez posagu i nazwiska, która nie powinna się przyzwyczajać do zbytku, bo ją na to nie stać. Zarabiać jednak na siebie ani ciotka, ani Lorcia mnie nie nauczyły. I cóż miałam robić, i jakże żyć? I cóż dziwnego, że skoro oświadczył się o mnie świetny, rzucający pieniędzmi, jak maharadża, cudzoziemski baron, to wszyscy dookoła uznali zgodnie, że mnie, „Sandillonkę“, szarego Popiołka, spotyka wprost nieprawdopodobny, wspinały, wymarzony los?

Patrzyłam długo na puste, białe, kosztownie oprawne kartki. Miały zostać powierniczkami mego szczęścia, mego nieznanego, zaczarowanego jutra. Mieliśmy zaraz po cichym ślubie—baron był w żałobie po ojcu—wyjechać do Czech, gdzie leżały jego rodzinne posiadłości. Mieszkać w średniowiecznym zamku, być panią baronową, wyjeżdżać w herbowym powozie, bywać coroku zagranicą! Kręciło mi się w głowie i czułam słodki szum. Z poza tego haszyszu, jak dwie groźne gwiazdy, wyswietlały się zawsze dwa niepokojące mnie, magnetyczne punkty: były to wspinałe jak djamenty, imperatywne oczy mego przyszłego męża. Kiedyś, jeszcze jako dziecko, widziałam obraz indyjskiego fakira w zawoju, hypnotyzującego jakieś małe stworzenie—ni to ptaka, ni to królika — z wyrzucaniem nakazujących, władczych rąk. Mój narzeczony nie wyrzucał rąk i układ miał nieposzlakowanie światowy. A jednak! Wieleż to razy potem myślałam o tym wieszczym obrazku, w godzinach, kiedy sama się czułam małym królikiem, pociągany w rozwartą otchłań na śmierć!

(d. c. n.)

EUGENJA MASIEJEWSKA

4)

JAK PANI NIUSKA ZMIENIAŁA SŁUŻĄCĄ

(humoreska wileńska)

Pani Niuska dała mocnego klapsa cudownemu dziecięciu i pobiegła zbadać sytuację. Stwierdziła po wejściu do kuchni, że Izabela rozmawia z ową babą w sieni, a wrzątek płynie po podłodze parującym strumieniem, który pod stołem zastygł w szerokie jezioro. Połyskliwy pyszczek kranu strącił na podłogę ostatnie krople zawartości kotła, to też pani Niuska nie pokwapiła się na ratunek gorącej wody i tylko krzyknęła:

— Izabelo!

Ta wpadła i, rozejrzawszy się po kuchni, złapała się garścią za włosy.

Pani Niuska wycofała się tymczasem, zostawiając kucharkę na pastwę daremny żalom.

— Nie! — powiedziała stanowczo do męża, —

czuję, że mi się mąci w głowie. To jest więcej, niż przeciętna kobieta może wytrzymać...

— Ktoś dzwoni... — przerwał Zbyszek, wydobywając się dla rozmaitości z pod kanapy. — Może znowu jakaś służąca?

Ale był to chudy osobnik w kraciastym szaliku na szyi i czarnym, wąskim paltocie. Rysy miał niewyraźne, jakby pozacierane gumą. Pod pachą przyciskał rozepchaną tekę. Na jego widok całej rodzinie zrobiło się niedobrze, gdyż nie mógł to być kto inny... tylko przedstawiciel Kasy Chorych. Do tej instytucji oboje małżonkowie mieli szczególną abominację, gdyż posiadała ona zdolność wyciskania pieniędzy z pustych zupełnie kieszeni w sposób równie nieoczekiwany, jak podstępny. Mimo, iż pani Niuską nie

miała na sumieniu ani jednej niezapłaconej składki, poczuła zimne dreszcze, gdyż smutne wspomnienia pouczyły ją, że, jeżeli w grę wchodzi Kasa Chorych, wszelkie ludzkie pewniki stają się względne i niedostateczne.

— Czy u państwa służyła niejaka... Helena Jodczyk?

— Owszem... ale to tylko chwilowo, w zastępstwie chorej stałej służącej.

— Chwilowo? Tem gorzej! Bo są tam zaległe składki, a ponieważ narosły kary, więc państwo będą łaskawi uiścić się z dość znacznej sumy.

— Ileż tego? — złowrogo zapytał pan domu.

— A będzie pięćdziesiąt złotych — poinformował słodko niewyraźny osobnik.

— Kasa myli się, bo wszystkie składki regulowałam punktualnie — odezwała się zdyszana z przerażenia pani Niuśka.

— Nic nie wiem. Kazano ściągnąć.

— Co?! — krzyknął pan domu. — Nigdy! Wszystko zapłacone! Słyszysz pan!?

— Nie jestem głuchy — zaznaczył skromnie wysłaniec Kasy Chorych. — Prosiłbym w takim razie o kwiteczki.

— Kwity! Niuśka!... Gdzie kwity?

— Boże mój! Skądże ja mogę wiedzieć! To było rok temu. Oni muszą notować, kto płaci.

— Właśnie u nas niezanotowane — wyznał z pewnym żalem sekwestrator. Państwo zapłacą, a potem mogą złożyć reklamację — dodał na pociechę.

— Oho! Nie głupim! — warknął pan domu.

— Niech was wszyscy djabli porwą z waszą Kasą!

— Silnie powiedziane! — uśmiechnął się z niesmakiem sekwestrator.

— Solidaryzuję się w zupełności z moim mężem! — rzuciła wyzywająco grzeczna zwykle pani Niuśka.

— Więc państwo nie zapłacą?

— Broń Boże! — oburzyła się pani.

— Trudno! trzeba będzie wyegzekwować.

— To już zobaczymy! Jak znajdę te djabelskie kwity, to sam przyjdę do was się rozmówić. A teraz żegnam! — zakończył pan domu, otwierając szeroko drzwi. Sekwestrator wyszedł pośpiesznie i za progiem nadeptał na nogę korpulentnej jejmości, solidnie okręconej czarną chustką. Obie strony mruknęły niechętnie, poczem opatulona kobiecina wcisnęła się do przedpokoju.

— Co? Może znowu służąca? — zawołał tragicznie pan domu.

— A tak jakże? — obraziła się jejmość. — Toż pan sam był przyszedłszy do świętej Zyty, żeby,

znaczy się, sługa pod Nr. 10 przysłała. Ja i przysłała. A nie trzeba, to mogą i odejść.

— Nie, proszę wejść — rzekła bladym ze znużenia głosem pani Niuśka.

— Dobrze, że u państwa na dole — pochwaliła nowoprzybyła. — Już nadto ciężko człowieku po schodach laać. Mówili mnie, że tu mało osób, to ja przysłała. Bo ja bardzo spokój lubia.

— Ach, spokój! — westchnęła pani Niuśka i pokiwała głową. — Nasz spokój w wielu wypadkach zależy jest właśnie od służącej.

— Ja spokojna — zaręczyła jejmość. — A obiady państwu zgotują, to choć na wystawa... Ach — przerwała — zdajcie, że tu dziecko jest?

— A jest!

— To już musi i niania państwo trzymają?

— Nie, chwala Bogu, nie „trzymamy“. I tak jest o jedną osobę za dużo w tym domu — denerwował się mąż.

— To już ja, wybaczą panowie, pójdę z tą drugą kartką. Tu jeszcze mam dwa adresy. Cierpieć nie mogą, jak w domu dzieci jest, albo jaka żywiola.

* * *

— Chciałem jej kości połamać! — wyznał pan domu, zatrzasnąwszy drzwi frontowe.

— Coby to pomogło! — westchnęła pani Niuśka!

— Chyba rozumiesz, że muszę wyjść gdzieś z domu, ochłonać po tem wszystkiem — rzucił mąż.

— Rozumiem... rozumiem... Pierwszy raz zetknąłeś się z tem, co jest zakalcowatym chlebem powszednim dla kobiety... Z drobiazgami... Naturalnie! musisz ochłonać... — i pani Niuśka znowu pokiwała głową, odchodząc ze Zbyszkiem do swego pokoju.

* * *

Wieczorem Izabela rzekła:

— Musi ja, paniczka, zostana się na dawnym miejscu. Serca moja aż trzęsi się, tak Zbyszka szkoduja.

— A to niech Izabela rozmówi się z panem — powiedziała apatycznie pani Niuśka.

— Ach je! jak z panem, także bez przeproszenia, wiadomo, nie obejdzie się. Pan nasz człowieka bez winy robi winowatym.

— To niech Izabela przeprosi. Dziura w niebie od tego napewno się nie robi.

— A już niechaj będzie. Gdzie nasze nie przepadało! Przepraszać, tak przepraszać — postanowiła nagle Izabela i, ocierając spoconą twarz fartuchem, zapytała tonem urzędowej kucharki:

— Nu, tak coż, paniczka, jutro na obiad robić będziem? A?

KONIEC.

KORESPONDENCJA Z ANGLJI

(Wybory do samorządów miejskich. — Spór o policjantki. — Eldorado zakochanych par).

Tegoroczne wybory do samorządów miejskich w Anglii przyniosły cały szereg niespodzianek, z których największą jest fakt, że aż w dziesięciu hrabstwach (wybory dokonywały się w 26 hrabstwach Anglii i Walji) na stanowiska burmistrzów zostały obrane kobiety.

Ten „women mayors! — dziesięciu burmistrzów w spódnicach! — nie, tego jeszcze nigdy w Anglii nie było!

A może naprawdę zaczyna się dziać według recepty... „przepowiedziano kiedyś w starych księgach wschodnich, że wiek XX stanie się świadkiem panowania kobiety...“

Niemniejszą sensacją chwili było też oświadczenie nowo obranego burmistrza hrabstwa Jork'u, radcy Rymer'a, który zapowiedział, że rok ten w jego hrabstwie będzie stanowczo — „a dry' year“, czyli „suchy...“ innemi słowy, szczęśliwy i moralny.

Burmistrz Rymer jest wielkim zwolennikiem prohibicji, to też kandydatura jego na urząd Mayor of York popieraną było gorąco przez kobiety... Znowu kobiety!...

Nowo obrane burmistrzynie zabrały się z zapałem do swych obowiązków i do załatwiania spraw najbardziej aktualnych. Do tych ostatnich należy, bezwarunkowo, zapobieżenie wzrastającej nędzy wśród bezrobotnych.

Kryzys węglowy, spowodowany nadprodukcją surowca w Anglii, objął nie tylko już całą południową Walję, ale rozszerza się z zatrważającą szybkością w innych kopalniach. Przeszło 300.000 górników w tych rejonach znajduje się bez pracy i bez nadziei uzyskania jej w najbliższej przyszłości.

Dziesiątki tysięcy kobiet i dzieci walczą z głodem i ostateczną nędzą.

Na terenie, objętym kryzysem bezrobocia, zorganizowano komitety pomocy doraźnej oraz ochrony dla małoletnich. Apel do społeczeństwa brytyjskiego nie zawiódł: lista składek na fundusz dla bezrobotnych, otwarta swego czasu przez parę królewską, dosięgła dziś sumy 700.000 funt. szterlingów. Niestety! wszystko to jest zaledwie kroplą w morzu...

Miss Bonfield (nowy burmistrz hrabstwa Wall, send) wpada na śmiały pomysł wprowadzenia wyjątkowego Bill'u (projektu do prawa), domagającego się wydania z Izby Skarbowej odpowiednich funduszy na zaopatrzenie wszystkich dzieci bezrobotnych, które uczęszczają do szkół, w tak zwane „obuwie rządowe...“

Według informacji, zebranych przez dzielną miss Bonfield, w jej własnym tylko hrabstwie przeszło 1000

dzieci, nie posiadających obuwia, przestało uczęszczać do szkół; na 11.000 uczącej się młodzieży robotniczej — zaledwie 3.000 posiada łałe obuwie, co wobec srogiej zimy może się stać katastrofalnym.

Bill, podpisany przez siedem burmistrzów-kobiet, zostanie odczytany przy pierwszej okazji w Izbie Gmin i znajdzie napewno gorącą aprobatę.

* * *

Wszystkie pisma angielskie przepelnione są żywą polemiką na temat... policji żeńskiej w Anglii. Słyszeliśmy i pisaliśmy niejednokrotnie, że na skutek wniosku komisji do zwalczania handlu żywym towarem przy Lidze Narodów, po wielu miastach europejskich zostały utworzone kadry kobiet-policjantek.

Sprawozdania z działalności i użyteczności tych nowych placówek kobiecych, dokonane przez poszczególne rządy, zostały wielokrotnie opublikowane przez biuro genewskie i podane do wiadomości szerszych mas.

Obok całego szeregu państw (Czechosłowacja, Rumunja, Holandja, Finlandja, Anglja, Australja i Argentyna), które wypowiedziały się za tą reformą, przedstawiając działalność kobiet-policjantek w jak najlepszym świetle — Francja i Grecja wystąpiły z protestem, zapatrując się bardzo sceptycznie na tę inowację. Dziś wrogie stanowisko, jakie zajął w stosunku do kobiet-policjantek szef policji angielskiej w Portsmouth, Mr. Daries, wywołało dyskusję, w której zabierają głos pokolei przedstawiciele rozmaitych organizacji społecznych. Za wyjątkiem miast uniwersyteckich: Cambridge i Oksford, gdzie kobiety wywiązują się ze swoich zajęć doskonale, zarówno w więzieniach, szpitalach, jak i na ulicach — naogół zdanie przedstawicieli policji męskiej jest bardzo nieprzychylnie dla koleżanek.

— Kobiety-policjantki nie na wiele się przydadzą. Władze tylko wtedy wysyłają je na posterunki, gdy w pobliżu znajduje się... policjant... — mówi drugi wróg policjantek, szef policji z Bedfordshire.

— A ja miałem w swych kadrach jedną tylko dzielną i rzetelną policjantkę, — donosi trzeci nieprzyjaciel, szef policji w Plymouth; — cóż, kiedy zakochała się nazabój w najlepszym z pośród detektywów i nie dość, że sama zaniechała swych obowiązków: zabrała mi i jego. . Oboje uciekli z Plymouth i ślad o nich zaginął...

Emancypantki przypisują tę złośliwość kolegów „zazdrości zawodowej“ i, niezrażone, coraz chętniej garną się do kadr policyjnych.

* * *

Ongiś w całej Europie słynna była pewna wioska brytyjska, znajdująca się na pograniczu Anglii i Szkocji, pod nazwą Gretna-Green, dokąd zjeżdżały się z całego świata zakochane pary, aby zawrzeć ślub według miejscowych przepisów, nie wymagających żadnych innych formalności, prócz błogosławieństwa, danego przez urzędnika „stanu cywilnego“, którym był miejscowy kowal, i wypowiedzenia przez niego znamiennych słów: „Oto twoja małżonka,—oto twój prawnie poślubiony małżonek“. To wszystko.

Ręce nowożeńców łączyły się w uścisku nad kowadłem, błyskawiczny ten, bowiem, obrzęd zaślubin, odbywał się w miejscowej kuźni; dawniej przy świetle zapalonego łuczywa, później—przy słabym płomyku palącej się zapalki.

Ceremonjał tego rodzaju zaślubin, po raz pierwszy wprowadzony w życie w wieku XVI, podczas konfliktów religijnych — przetrwał wieki...

Właściciele kuźni w Gretna-Green z pokolenia na pokolenie uzurpowali sobie prawo łączenia za-

kochanych i zapisywania ich [nazwisk do historycznej księgi.

Wiek XIX przyniósł zmierzch sławy Gretna-Green; lecz wiek XX, gonący za wszelką ekscentrycznością, pragnie wznowić tradycje, które są dlań... wygodne.

Obecny właściciel kuźni, kowal Rennison, dowiódł właśnie w oficjalnym sprawozdaniu, że rok ostatni był dlań wyjątkowo „gorący“, gdyż połączył on legalnym związkiem małżeńskim 125 par z rozmaitych sfer społecznych, nie odmawiając swych usług i cudzoziemcom.

Stara kuźnia w ciemnej szopie zachowała swój dawny wygląd; ceremonja odbywa się tak samo, przy świetle zapalonej zapalki: wystarcza, bowiem, by nowożeńcy ujrzeni się nawzajem nad kowadłem.

Tylko, że Gretna-Green nie jest już ucieczką zakochanych przed zakazem i pościgiem surowych rodziców... a raczej ucieczką, pragnących wstąpić w legalne związki, przed ceremonjami obrządków kościelnych.

Han. Skar.

J. PUTIATYCZ-SURYNOWA

PARYSKI „SYLWESTER“ 1928 — 1929

Iluminacja Paryża w noc Sylwestrową. — Jak się bawi ulica paryska? — Hale. —

Bal muzyków polskich. — Rewja tualet balowych. —

Historja srebrnego pantofelka.

Paryż nocy Sylwestrowej rozbłysł milionami światła.

Hen! aż pod gwiazdziste niebo roziskrzyła się siatka wiązań wieży Eiffel. Zalsniły na Concorde bijące fontanny. Zabłysły na Etoile łuki Arki Triumfalnej. Olśniewały przepychem różnobarwne reklamy Wielkich Bulwarów. Zalewały potokami różowych i niebieskich promieni kwiaty elektryczne hotelu Claridge i Lido. Kręcił się na Montmartre olbrzymi, czerwony wiatrak tradycyjnego „Moulin Rouge“. Zapalały się i gasły różnobarwne bańki mydlane i rajskie ptaki na wielkich magazynach Louvre i Gallerie Lafayette. Migotały latarnie pędzących po ulicach samochodów.

Paryż lśnił, migotał, błyszczał, skrzył się, zalewał potokami światła i... olśniewał w tę Noc Sylwestrową.

* * *

Auto nasze zatrzymano.

Zwykła historja jezdni paryskiej. Nieprzejrzane sznury samochodów czekają, warcząc z niecierpliwością, gdyż poprzeczna ulica wylewa tysiące innych, pędzących z zawrotną szybkością.

Patrę przez szybę na ulicę paryską, na tę gwarłą, tłoczną, śmiejącą się...

Chodniki zalane potokami światła. Wychodzące z restauracji pary śmieją się, tańczą... całują się...

Przed chwilą pito szampana—teraz ten szampan szumi! Błyszczą oczy pod dziwaczniemi bibułkowemi kapeluszkami, przypominającemi bretońskie czepeczki, hełmy i triumfalne pióropusze artystek kabaretowych.

Rozpięte futra i „sorties de bal“ ukazują nagie ramiona i lśniące, balowe tualety.

Francuzi bawią się.

Bawią się po teatrach i kinematografach, restauracjach i Music-hallach, kawiarniach i dancin-gach, na balach i na ulicy, na Montmartre i na Montparnasse...

Bawią się. A zakończą zabawę nad ranem wędrówką charakterystyczną do... hali paryskich (!).

Dziwaczny to będzie widok.

Olbrzymie, ponure i milczące za dnia „Halles Centrales“ — w nocy otwierają swe podwoje, rozbłyskują światłem i ruchem rozwożonych na cały Paryż jarzyn, mięsa, ryb i owoców. Wielka hurtownia wre gorączkową, mrówczą pracą.

W noc Sylwestrową chęć wrażeń unosi paryżanina do tego targowiska, pełnego opatulonych w swe-



Peruka ze lśniących, białych i srebrnych nici...

try i chusty „vendeuses”, pełnego czerwonych, zmarniętych twarzy i rąk, wesołych uwag, biegnących tragarzy i nawoływań. Wesoły paryżanin wnosi do tego siedliska pracy w noc Sylwestrową śmiech, zabawę i śpiew.

Więc obok stosu kalafjorów, czerwonej marchwi i pierzastej sałaty—pan w cylindrze, przekrzywionym na bakier, śpiewać będzie „O... Roséeee ...eèè Marie...e...e”.

Więc... obok wózka, pełnego langustów, ostryg i ślimaków—będzie zawrotnie cherlestonować rozbawiona para. Więc... deptać będą po brudnych liściach kapusty złote pantofelki... Więc... za stołem pomarańcz, bananów i ananasów ukryta parka — całować się będzie z kompletną nieświadomością miejsca i czasu.

Więc... w ogromną ćwiartkę okrwawionej cieleciny wpinać będą rozbawione, maleńkie, wymanucurowane rączki aksamitną kamelję o srebrnych liściach...

* * *

Liczna Polonja paryska w Sylwestra urządziła aż trzy imprezy balowe. A więc:

Towarzystwo Miłośników Sceny Polskiej, życząc wszystkim rodakom „dosiego roku” — zapraszało na „Wieczór Sylwestrowy”. Program zapowiadał: komedijkę Nikorowicza „Noc poślubna”, oraz część koncertową z udziałem p. Jadwigi Hryniewickiej, p. Oberfelda, Andzi Mieczińskiej, oraz chóru polskiego pod batutą pana Fiszera. Poczem miały nastąpić tańce.

Całkowity dochód z balu przeznaczono na zakup pianina dla T-wa M. S. P.

Sokół paryski w sali „des Ingénieurs civils” na Rue Blanche urządził „Bal noworoczny”. Sale udekorowano, wystawiono trofea sokolstwa polskiego we Francji. Zapowiedziano kotyljon z orderami, fantową loterię i t. p. atrakcje.

W końcu... Towarzystwo Młodych Muzyków w Paryżu organizowało „Grand Bal Reveillon” w eleganckich salonach hotelu Georges V...

W dwóch salach rzeświście oświetlonych tańczono.

W innej, zastawionej zielonemi stolikami i klubowemi fotelami — grano w bridge’a. W sali bufetowej, przy małych restauracyjnych stolikach pito szampana. Bez końca szampana!

Towarzystwo wykwiłtne. Śmietanka Kolonji polskiej. Prawie cała Ambada polska. Misja. Konsul Poznański. Kolonja oficerska w komplecie. Lotnicy. Świat muzyczny. Artyści-malarze. Literaci.

Więc nietylko się tańczy, ale i rozmawia, i to niezmiernie ciekawie.

Oczywiście, przygrywa jazz.

Moc ładnych pań, jeszcze więcej — szykownych pań. Bo trzeba przyznać, że nasze polki umieją nosić modele sukien paryskich z ogromnym wdziękiem i elegancją, przytem (co najważniejsze) umieją podkreślić „genre” swej urody.

A teraz, dla Ciebie, rozkarnawałowana Warszawianko — trochę ostatnich nowości sezonu.

Hallo! Hallo! fiołkowy kolor (oddawna pogardzany i zapomniany) wchodzi w modę!

Mamy nosić długie suknie na bale i wieczory i mamy mieć talję w pasie, jak nasze mamy. Narzucają nam to wielcy twórcy mody. Paryżanka długość sukni aprobeje (z zastrzeżeniem możności ukazania nóżki do kolana: z boku, z tyłu, lub z przodu „ça dépend”)

Co do talji w pasie — protest! Talja pozostaje kapryśna na różnych wysokościach!

A teraz... główki balowe...

Główki balowe, zależnie od typu uczesane. Ondulacja „indéfrisable” na „płasko”, lub na „czupurnie”. Lub bez ondulacji czarna, aksamitna czapeczka z włosów z wielkim, hiszpańskimesem nad oczami. Peruki ze lśniących białych i srebrnych nici. Zwraca uwagę djadem z dużych, metalicznych liści na kształtnej główce.

A teraz — kwiaty...

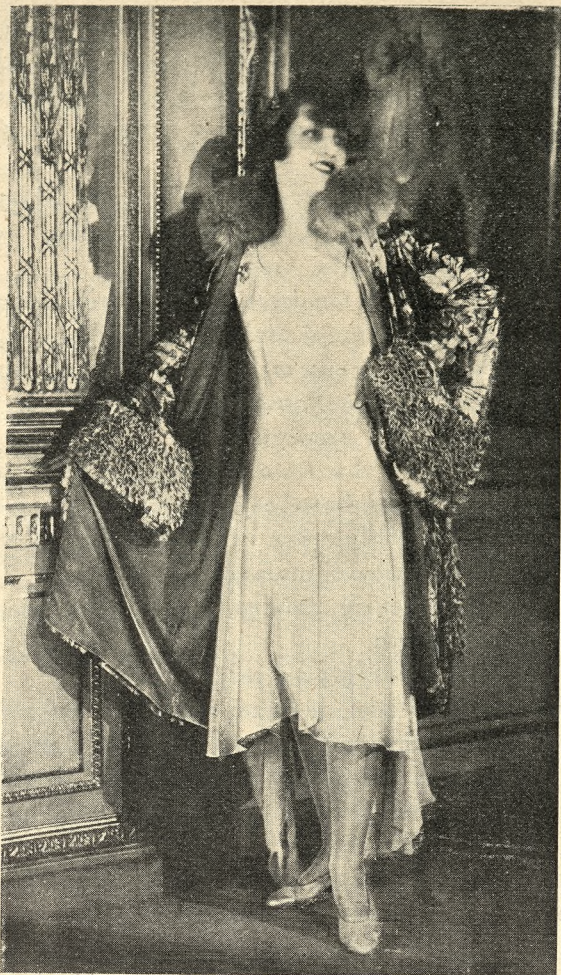
Ogromne, srebrne róże, całemi pękami przypięte na ramionach. Girlandy, od pasa zwisające aż do ziemi.

Na jaskrawej krynolinie kapryśnie rzucone płaskie, ogromne kwiaty.

A szale?

Na poręczach foteli zwisają, pozostawione podczas tańca, jaskrawe, pastelowe, aksamitne, jedwabne, naszyte cekinami (tonowanemi), z lamy, haftowane...

Widać też kilka „manteaux de soir” (siedzi się w tem na sali balowej i teatralnej).



Suknia z lamy srebrnej — płaszcz z czarnego, brokatu przetykanego srebrem, obramowanie ze srebrnych piór. Kreacja firmy Agnes.

Różowe aksamitne, podbite aksamitem czarnym (nosi się na obie strony). „Manteau“ ze starych, złotych koronek...

Poruszają się olbrzymie wachlarze ze strusich piór. Z poza nich wyglądają oczy, malowane na niebiesko, rbronzowo lub czarno.

Dziwne, jak wiele teraz kobiet ma usta świeże i bardzo czerwone policzki, przypominające płatki róży, a ramiona klasycznej białości!

Starych kobiet niema! Zmarszczek niema!

Bywają tylko mamy o siwych włosach, świeżej cerze, w prześlicznych, ciemno-szafirowych koronkach.

* * *

Na balu bawiono się świetnie.

Cherlestonowano, walcowano, fox-trotowano, jednym słowem... modernizowano...

Myślałam, jadąc na bal, czy odnajdę na nim trochę kraju? Byłam ciekawa, czy my potrafimy się wyodrębnić i wnieść do naszej zabawy trochę polskiej tradycji?

Do 4-ej rano myślałam, że nie potrafimy. Uwierzyłam, że jesteśmy nawskroś ludźmi Zachodu.

A jednak...

Nad ranem obudziła się w mazurze „polska dusza“. Major Jankowski zagrał nam tak oberka i mazura, jak tylko w Polsce grać go umieją, a tańczono go z życiem, szumno, gwarno i... bardzo ładnie. Była i marymoncka figura.

A w bufecie zjawiły się... pączki!

Nie były to ani „brioche“ z francuskiego ciasta, ani „tartes“ z owocami, tylko nasze, prawdziwe pączki, które licytowano! (na cel dobroczynny).

Bawiono się do rana.

Organizatorzy balu mieli rozpromienione twarze, a panie musiały widocznie dużo tańczyć, bo znam takie, które zsuwały... srebrne pantofelki (w cieniu odwożącego je do domu samochodu).

Widocznie...

Widocznie nie tylko nasz „Stephan“, czy Struś i Kieliszek potrafią zrobić niewygodne pantofelki, ale i wielki „Raoul“ na Champs Elysées (niestety) „przykroi“ czasem o 1/4 centymetra „za ciasne na... podbiciu“.

U ARTYSTÓW-PLASTYKÓW

W sali przy Nowym Świecie, po dorocznej wystawie warszawskiej — rozgościł się Kraków. Niestety, nie ze wszystkimi swymi przyległościami. Nie widzieliśmy tam przede wszystkim artystów najbardziej żywotnego i ruchliwego związku krakowskiego — „Jednoróg“. Szkoda! Albowiem wystawa, tak, jak się przedstawiała — mimo całej życzliwości i kurtuazji, należnej naszym gościom — nie nastrojała nas zbyt radośnie.

Położony w pięknej okolicy, wśród lasów i wzgórz, słusznie szcycący się swą malowniczością, Kraków

powinienby przecież przynieść do szarej, jednostajnej Warszawy trochę uśmiechniętych kolorów, trochę barwnego animuszu. Niestety — szaro i szaro! To jest, oczywiście, była tam moc czerwieni, i zieleni, i fioletu, — ale cóż robić, kiedy to wszystko było martwe i głuche, nierozświetlone od wewnątrz — nie-malarskie! Mówię dlatego przede wszystkim o barwie, że przeważało właśnie wszędzie podejście barwne do obrazu — sami malarze stawiają sobie najwidoczniej zagadnienie kompozycji barwnej raczej, niż formalnej, do rozwiązania.

Było zresztą kilka jaśniejszych punktów.

Z pośród trzech obrazów prof. Weissa, gorzych zresztą raczej od nieco dawniejszych jego, wystawianych jednocześnie w „Zachęcie“, studjów—najlepsza jest „Modelka“ w pracowni. Coprawda, gorzy czy lepszy, taki czy owaki jego obraz — na każdym przecież znać robotę pędzla, który „czuje farbę“. Może są różni wzniośli malarze, którzy barwę mają w duszy; już lepiej mieć do czynienia z Weissem, który ma ją — „w końcach palców“.

Zbigniew Pronaszko wystawił jedno tylko studjum kobiece, o niezmiernie finezyjnych cieniowaniach barwnych — ciepłych, różowo-czerwonawych.

Zpośród prac Chmurskiego, dość nierównych — zwracały uwagę „Begonje“, bardzo ładne, zwarte w kompozycji barwnej i o zróżnicowanej fakturze.

„Narciarze“ Leszki, obraz o dużej świeżości, zdradzał powinowactwo z pejzażami górkami Rafała Malczewskiego.

Zanotujemy jeszcze bardzo miłe szkice architektoniczne Adama Malickiego, interesujące, choć nieco zbyt krzykliwe prace Jabłońskiego i wreszcie Krzyżńskiego pejzaże i kulturalną martwą naturę, na których wyraźnie znać wpływy francuskie.

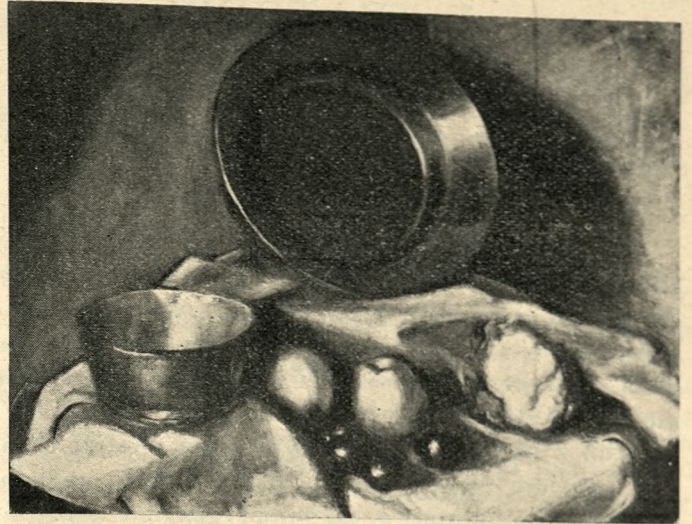
* * *

Pod wdzięcznym, ale i obowiązującym godłem „Kolor“ urządziły wystawę młode artystki, wyszłe z warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, z pracowni prof. Pruszkowskiego.

Godło to bezwzględnie mocno obowiązuje — zwłaszcza na naszym szarym gruncie. Bo choć to może brzmi paradoksalnie w zestawieniu z tą „bajecznie kolorową“ Polską, o jakiej lubią się rozpisywać poeci, a często gęsto i poniekąd krytycy artystyczni — barwa nie jest naszą mocną stroną. Jeżeli już zrywamy z szarzyzną, to dla jakichś „wściekłych“ zestawień, dla połączeń, pełnych może temperamentu, ale częstokroć nieco barbarzyńskich. A duch czasu już się od tego typu zjawisk artystycznych odwraca z pewnym niesmakiem; kapryśny człowiek nowoczesny wziął sobie dobrą lekcję u kubistów, u mistrzów malowania ostremi, przeciwstawnymi, jaskrawo kontrastowymi tonami. Ale nauczywszy się od nich, wiele mógł tylko — zapragnął znów harmonij barwnych, budowanych poprzez najsubtelniejsze, migotliwe rozpylenie, poprzez zestawienie tonów o milimetrycznych odchyleniach. Przerafinowany estetycznie widz we Francji żąda dziś, ażeby powierzchnia obrazu, tworząc doskonałą całość, była jednocześnie czemś nieskończenie zmiennym — falującą grą tonów, z których każdy musi posiadać możliwie osiągalną czystość, głębię — intensywność.

Wielkie wymagania!

Większość obrazów, które mamy sposobność oglądać w tej chwili w sali przy Nowym Świecie —



Hirszberżenka — Martwa natura.

nie stoi jeszcze, oczywiście, na poziomie tak wysokim, Lecz uderzają poważne i rzetelne założenia. P. Mary Litauer chodzi niewątpliwie o „granie“ pędzlem. Otóż to jest marzenie! Czubkiem pędzelka, mając nieomyślne poczucie farby nietyle nawet w palcach, ile właśnie w każdym włosku tego pędzla — muskać sobie płótno i wygrywać na niem wszystkie możliwe gamy różowości, zieloności — tęczę nie siedmio — lecz tysiąc-barwną! Niezawsze się to udaje. Często pędzel zdaje się być zbyt sztywny, farba zbyt jednolicie — mimo pozorowej wielobarwności — zapełnia powierzchnię, obraz przez zbyt mało zróżnicowaną fakturę, zbyt powierzchowne, płytkie traktowanie poszczególnych tonów — jest martwy. Ale taka „Sielanka“ np. ma w sobie istotnie coś świetlistego, żyje.

Pejzaże p. Hufnaglówny mają w sobie pewną senność, która wynika nietyle z jakiegoś tematyczno-literackiego nastawienia, ile ze szczególnego upodobania artystki do tonów srebrno-szarych i szaro-zielonych. I zresztą, rzeczy, utrzymane w tej właśnie tonacji, są najbardziej udane; — obrazy, które według założenia mają mieć charakter bardziej rozjaśniony — wywołują właśnie, nieoczekiwanie, wrażenie szarości.

Najbardziej obiecujące są, na innym zupełnie gruncie wyrosłe, prace p. Hirszberżanki. Jej studja portretowe, a przede wszystkim, martwe natury odznaczają się dużą siłą i poczuciem kompozycji. Wystawiana już w tej samej sali jej martwa natura ze śledziami i cebulą, a także druga, ze złocistym talerzem i owocami — są „zbudowane“ — „trzymają się“ doskonale, a jednocześnie, dzięki zróżnicowaniom fakturowym, kryje się w tych pracach pewna dynamika. — „Groteska“ ma ładne czerwone tony — a wszystkie wogóle prace p. Hirszberżanki cechuje świeżość i niejaka odrębność wyrazu.

l. j.

Z TEATRÓW

TEATR POLSKI

„Włamywacz” — sztuka w trzech aktach *Adama Grzymły-Siedleckiego*. Reżyserja *Stanisława Stanisławskiego*. Dekoracje *Stanisława Słowińskiego*.

Ambicja, jako psychiczne nastawienie, jest, według przeciwników Freuda, jedynym motorem wyżycia się ponad normę przeciętności. Ambicja, bowiem, przeciwstawia się bojowo „poczuciu mniejszej wartości” (*Minderwertigkeitsgefühl*) i stąd też jest napięcie energii psychicznych i witalnych tak silne, że z nizin, z nędzy i małości bytowania wystrzelić może nad poziom — wybitność, czy nawet genialność intelektu, bohaterstwo, wspaniały czyn i t. p.

Takie ściąganie spraw życia do jednego mianownika jest, oczywiście, koncepcją sztuczną, nie pokrywającą się z różnorodnością zjawisk. Tak samo zresztą „erotyzm” Freuda popełnia zasadniczy błąd jednostronności. I dlatego, sądzę, sztuka Siedleckiego skłania do rozważań, ponieważ wykazuje mylnosc owej jednostronności psychoanalitycznych dowodzeń, wyprowadzających wszystkie pobudki czynów z jednego tylko ogniska emocjonalnego.

W chwili, gdy poznajemy bohaterów Siedleckiego, życie ich nastrojone jest właśnie na nutę ambicji. Niezbyt wielkie, zresztą, są te plany, skoro wystarcza im pospolita nazwa „karjera”. W istocie zrobił i jest na dobrej drodze do robienia jeszcze lepszej kariery — Dyrektor banku. Większą energię ambicji ma za sobą jego żona, Karolina, córka pomywaczki i była tancerka. Karjerowiczowskie dążenia spokrewniają się tu zresztą bardzo blisko ze snobizmem, który zazwyczaj buduje na kłamstwie. Od kłamstwa zaś już nie tak bardzo daleka droga do przestępstwa.

Dzieje Karolinę, dziś bogatej damy, zacieraającej



P. M. Przybyłko *Potocka* w roli żony dyrektora banku
i *p. Stubicza* — księżna

zrećźnie ślady swojej przeszłości — są pod pewnym względem dziejami awanturnicy. Awanturniczością jest już bowiem konflikt z prawem. I choć fałszerstwa dopuścił się jej niby-ojciec, pułkownik Łotyszyn, Karolina wie o tem, że całe swoje obecne życie zbudowała na karygodnym postępku,

Nie robi sobie z tego wielkich skrupułów, nie ma wyrzutów sumienia, skoro jest nasycona dobrobytem i tą cudownie spełnioną wolą swojego dzieciństwa, aby z szumowin, z nędzy i poniżenia osiągnąć pozycję towarzyską. Doszła, osiągnęła to, do czego parła ją ambicja. Czy jest szczęśliwa? Nie, szczęście nie może być określeniem jej obecnej sytuacji życiowej. Szczęście — to romantyzm, który ma swój tajemny kącik we wspomnieniu. Właśnie pierwsza miłość z dni nędzy, a raczej nastroj tej miłości. Właśnie tamte, dawne marzenia ambitne i nieposkromione. I gdy teraz przychodzi ktoś inny z miłością wierną i sentymentalną, wspomnienie Karoliny, może drogą analogji, zjawia się, jak upiór. Dopóki jednak wspomnienie ma tylko widmowy zarys, można je łatwo przepędzić mocną wolą rzeczywistości. Ambicja wygrywa, odnosi zwycięstwo nad mdłą romantycznością.

Nie wątpimy więc, że Karolina jest człowiekiem silnym i potrafi się utrzymać na osiągniętym szczyble. A gdy przyjdzie nagła katastrofa, którą jest ujawnienie się kłamstwa i przestępstwa, gdy upiór dzieciństwa przyoblecze się w żywe ciało, Karolina nie zaniecha walki o swoją pozycję życiową. W tej chwili okaże się nawet, że Karolina jest silniejsza od tracącego głowę i tchórzliwie podławego męża. Włamywacz do kasy banku, którym jest właśnie pierwsza miłość Karoliny, odrazu przestaje być dla niej romantycznym wspomnieniem i przemienia się w niebezpieczeństwo, które należy za wszelką cenę — przekupić i zmusić do milczenia.

Ale tu właśnie, w dialogu między Karoliną a włamywaczem, w niwecz się obróci psychoanalityczna, profesorska teza. Obok ambicji tkwi bowiem w Karolinie coś jeszcze, coś, o czym nigdy nie wiedziała przez wszystkie lata swojego życia, kiedy szła za oslepiającem: naprzód i wwyż! Jest to uczucie, które nagle pozwoli jej przejrzeć, zrozumieć i sprawiedliwie osądzić — siebie. Dowiedziała się oto, że chłopiec, którego kochała pierwszą miłością, dla niej popełnił kradzież, byle zaspokoić jej żądę błyskotek i dopomóc jej do wyrwania się ze środowiska nędzy. Po tym pierwszym czynie „karjera” studenta była już przesądzona; ale dla Karoliny jego przestępstwo stało się odskocznią do innego życia. Potem szła już naprzód do swojego ambitnego celu.

Wyznanie włamywacza jest niejako włamaniem się do psychiki Karoliny. I w konkluzji wybiera Karolina — ekspiację za krzywdę, bezwiednie uczynioną kochankowi. Burzy to, co z takim trudem osiągnęła, i odchodzi w świat za przybranym ojcem, jako ktoś

bez pozycji towarzyskiej, ktoś, kto jest właściwie — nikim — w oczach snobistycznej opinii.

Zaciekawiająca i efektowna fabuła tej sztuki, o podłożu psychologiczno-sensacyjnym, daje dużo emocji.

Aktorzy nie wszyscy stanęli na tym samym stopniu.

Świetny był Junosza-Stępowski, Leszczyński, Przybyłko. Inni byli bądź poprawni, bądź zupełnie bladzi. Wyróżnił się Dominiak w małym epizodzie.

H. N.

Z KSIĄŻEK

Julja Dickstein - Wieleżyńska „O k i ś ć” — poezje. — Warszawa Hoesick, 1928. — Str. 97+7 nl.

Wiersze Julji Dickstein-Wieleżyńskiej nie są „zdarzeniem dnia” — nie pokrywają się z założeniami i dążeniami poezji współczesnej. Ideowo wyrosłe z podłoża filozofii spekulatywnej, gdzie dialektyczna formuła Piękna, Prawdy, Dobra itp. była szablonem, jakże przez wszystkich nadużywanym, — formalnie posiadają wszystko to, co spotykaliśmy u Rydla, Tetmajera i bodaj że całej Młodej Polski. Autorka jest wrogiem formy współczesnej, z czem się zresztą nie kryje (vide wiersz „Nowa Poezja” str. 29); ale wrogość ta mści się na autorce, która dla utrzymania rytmu zmuszona jest używać nieprawidłowych skrótów wyrazów, np. „zsuszone owoce”, albo „w paściach zdradnych się tai” (zamiast: w przepaściach), albo jeszcze „tęsknotą z aglowne łabędzie”.

Znalazłem w „Okieści” również kilka pojęciowych „niedomówień”. Na stronie 65-ej p. Wieleżyńska pisze: „stawiam dumną nogę”. Osobiście nie potrafię odróżnić nogi dumnej od pokornej, dlatego mnie to powiedzenie zastanowiło. Albo: „stopę wrogą na szyi kładł” (str. 75). Czyją stopę na czyjej szyi? — niewiadomol

Jest jednak w tej książce kilka obrazów naprawdę pięknych.

„Owoc uwisły u chmury drzew“

„Oczy — dwie czarne pieczęcie“.

Pięknym, a najbardziej chyba charakterystycznym wierszem dla autorki będzie wiersz pt. „Niema krańca“.

Reasumując: „Okieści” — to książka esencjonująca bardzo osobiste wewnętrzne przemyślenia i przeżycia autorki, podstawione na teren przemyśleń i przeżyć ogólnoludzkich, z metodyką i nastawieniem dialektycznym XIX stulecia. Poza kilkoma formalnymi usterkami, wymienionymi wyżej, wiersze Wieleżyńskiej posiadają dużo wdzięku.

a. m

Kobieta w świecie i w domu

Z ŻYCIA KOBIETY W INDJACH

Hinduski robią dobry użytek z otrzymanego tak stosunkowo niedawno, gdyż dopiero w 1921 r., prawa głosu. Rok 1928 dostarczył tego nowe dowody. W tym roku Przewodniczącym Prowincjonalnej Legislatywy w Madras została obrana kobieta: dr. Prawa Muthulakshmi Ammal. Z jej inicjatywy uchwaliła Legislatywa prawo, podnoszące wiek matrymonjalny dla dziewcząt do 16 lat. Obecnie wniosła ona do tejże Legislatywy projekt prawa o przymusowym nauczaniu wszystkich dziewcząt do lat 14-tu.

W Niepodległych Państwach Hinduskich kobiety są już od lat kilku Radniami miejskimi; obecnie Seva Sedan — Stowarzyszenie kobiet Pendżabu — wniosło do Legislatywy swej Prowincji memorandum, domagający się przyznania tego prawa również kobietom w Indiach Angielskich.

Lecz prym pod względem praw, przyznanych kobietom, trzyma Państwo Trevancore. Od czterech lat jest tam kobieta ministrem zdrowia (niestety! moja korespondentka nie podaje mi jej nazwiska). W Trevancore rządy sprawuje Maharani Regentka w czasie małoletności swego syna. W ciągu 1928 roku założyła ona 48 nowych szkół dla dziewcząt, tak, że liczba ich wynosi obecnie 543; uczęszcza do nich 196.000 uczennic. Uniwersytet w Trivandrum ma 240 studentek; 10.000 studjuje w szkołach wyższych (zawodowych). Trevancore pierwsze wprowadziło szkoły koedukacyjne; ilość dziewcząt, uczęszczających do nich, wciąż się zwiększa, tak że wkrótce nie będzie potrzeby zakładać specjalnych szkół dla dziewcząt.

W grudniu 1928 r. otwarto w Kalkucie Powszechną Wystawę Hinduską. Pawilon kobiecy zwraca na siebie ogólną uwagę. Zwłaszcza dział włókienniczy, gdzie podziwiamy materje, tkane ręcznie przez kobiety, a tak piękne, iż w niczem nie ustępują sławnym starożytnym tkaninom hinduskim. Orissa wystawiła kilka szali muślinowych, tkanych według odwiecznych przepisów, obecnie opretentowanych, aby nie mogły być naśladowane.

* * *

W lutym 1928 r. odbył się w Delhi II Zjazd Kobięcych Organizacji Oświatowych. Powziął on cały szereg doniosłych uchwał, z których podaję najważniejsze. 1. Kobiety Indji zobowiązują się nie posyłać swych dzieci do szkół, które nie zapewniają im religijnego wychowania. 2. Kobiety domagają się wprowadzenia w całych Indiach jednolitego prawodawstwa małżeńskiego, zabraniającego zawierania małżeństw przez dziewczęta, młodsze, niż 16-to letnie. 3. Każda wdowa powinna otrzymać zawodowe wykształcenie, zapewniające jej byt niezależny; przytem Zjazd uważa, iż z pośród nich powinny się rekrutować nauczycielki, których tak wiele potrzeba. 4. Cały personel nauczycielski w szkołach elementarnych, zarówno żeńskich, jak męskich, powinien składać się wyłącznie z kobiet.

Kobiety muzułmańskie Hajderabadu domagają się energicznie przyznania im tych samych praw, z których korzystają hinduski. oraz zaprowadzenia reform, jakie wprowadziła Turcja, np. zniesienia purdhy i zasłon. — Za dawnych, dobrych czasów, gdy kraj był bogaty, życie w purdzie było prawdziwą rozkoszą; tak nie jest obecnie, gdy purdha — to zamknięcie w małym pokoiku — piszą kobiety Hajderabadu w memorjale do Nizama. — Wasza Królewska Mość nie może sobie życzyć, abyśmy wzdychały do zmiany rządów, jaka miała miejsce w Turcji, i przyzna nam napewno reformy, których się domagamy — kończą petentki.

W Lucknow odbył się niedawno Zjazd Ligi Muzułmańskiej. Miał on powziąć decyzję w sprawie żądań Muzułmanów Indyj, opowiedzieć się za ustrojem dominjalnym lub kompletną niepodległością. Kobiety asystowały obradom, jednak galerja, którą zajmowały, była zasłonięta purdżą. W czasie gorącej dyskusji, gdy obradujący mężczyźni nie mogli powziąć decyzji, kobiety przysłały przewodniczącemu zawiadomienie, iż domagają się, aby Liga opowiedziała się za niepodległością; w przeciwnym razie one, kobiety porzuca „purdżę”, wyjdą na ulicę, aby Indjom wywalczyć niepodległość. To wystąpienie kobiet wywołało niebawem entuzjazm zgromadzonych i odnośna rezolucja została przyjęta jednogłośnie.

Projekt Konstytucji Hinduskiej, opracowany przez Komisję Międzypartyjną, wyłonioną z Narodowego Kongresu, przewiduje wprowadzenie w Indjach kurjalnego systemu wyborczego. Muzułmanie domagają się zarezerwowania dla nich stałej ilości miejsc w parlamencie. Obecnie jedna z kobiecych Organizacji „Saroj Dutt Malini Association” żąda tego samego przywileju dla kobiet. Stanowią 45 proc. ludności Indyj, należy się więc nam również 45 proc. mandatów poselskich, — rozumują wnioskodawczynie. Akcja ta jednak nie zyskała dotychczas poparcia innych organizacji kobiecych; nie wypowiedziała się również w tej sprawie żadna z wybitnych działaczek politycznych lub społecznych.

Aby zwalczać wrogą Indjom propagandę, Komisja Międzyparlamentarna wydelegowała do Europy i Ameryki znaną i cenną poetkę i działaczkę polityczną — panią Sarojini Naidu. Odczyty jej wywołują wszędzie wielkie zainteresowanie sprawą Indyj. Możliwe, iż pani Naidu odwiedzi również Warszawę.

KOBIETY NA GIEŁDZIE WARSZAWSKIEJ

W bankowości pracuje bardzo wiele kobiet; nie brak wśród nich sił wybitnych, zajmujących stanowiska prokurentek (prawo podpisu firmy).

Do wyjątków jednak należy kobieta, pracująca na giełdzie, mająca do czynienia bezpośrednio z „grą”, załatwiająca osobiście w gmachu giełdowym transakcje, kupno i sprzedaż akcji i papierów wartościowych.

We Francji np. kobiety są wykluczone, jak w wielu innych wypadkach życia społecznego i gospodarczego, od bywania na giełdzie. Nie przeszkodziło to jednak rozgłośnej pani Hanau, ani wielu innym, do uprawiania najbardziej ryzykownej i nieuczciwej spekulacji przy pośrednictwie — mężczyźni.

Polska ustawa giełdowa nie czyni wstrętów kobietom. To też na giełdzie warszawskiej od wielu lat bywają kobiety, nieliczne coprawda, ze świata finansowego.

W tej chwili giełda warszawska widuje dwie kobiety. Jedną — to p. Regina Centnerszwerowa, właścicielka kantoru wymiany, dru-

ga — to prokurentka filji Banku Kwilecki i Potocki, p. Marja Nesserówna.

P. Centnerszwerowa jest osobą poważniejszą i od kilkunastu lat bywa stale na giełdzie, zajmując się osobiście prowadzeniem interesów swego kantoru.

P. Nesserówna, młoda i miła, jest typem dzielnej pracownicy, która swymi zaletami zjednała sobie zaufanie i uznanie nie tylko swych szefów, lecz i fachowców, spotykających ją w pracy na giełdzie.

j. k.

POLKI Z MANDŻURJI BIORĄ UDZIAŁ W WYSTAWIE POZNAŃSKIEJ

W najdalszych zakątkach świata, gdzie zamieszkują polacy, Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu obudziła wielkie zainteresowanie.

W Charbinie zorganizowany został komitet, który zajmuje się zbieraniem eksponatów, obejmujących dział pracy kobiet polskich w Mandżurji. Będą to przeważnie prace z zakresu zdobnictwa i sztuki. Koszty wysyłki pokryte będą ze sprzedaży żetonów, wybitych przez Centralny Komitet Wystawy Pracy Kobiet. N. J.

ŚLĄSKI ZWIĄZEK KÓŁ GOSPODYŃ WIEJSKICH

Urządza w dniu 17, 18 i 19 lutego 1929 r. w wielkiej sali Domu Związkowego przy Kościelnej N. M. P. w Katowicach, wraz z Walnym Zebraniem Związku, wystawę pracy kobiet śląskich.

Żarząd prosi wszystkie Związki kobiece, szkoły gospodarcze i jednostki, interesujące się przemysłem domowym, z zakresu sztuki czy gospodarstwa, o wzięcie udziału w tej wystawie — celem objęcia całości pracy kobiet na Śląsku.

Wystawa ta będzie przeglądem eksponatów, godnych przedstawić pracę kobiet śląskich na Poznańskiej Wystawie Krajowej.

* * *

Śląski Komitet Wystawy Pracy Kobiet, zarządzanej na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu, zwraca się do wszystkich Polek, które pracowały na terenie Województwa Śląskiego w okresie przedwojennym, i do uczestniczek plebiscytu i powstania górnośląskiego, z gorącą prośbą o nadsyłanie swoich wspomnień z tych czasów, życiorysów, fotografii (pojedynczych i zbiorowych), oraz wszelkich pamiątek, celem umieszczenia ich na Wystawie — pod adresem: Olga Ręgorowiczowa, Katowice, ul. Ligonja 30 III p.

Po ukończeniu Wystawy, nadesłane nam materiały będą zwrócone pod podanym adresem. Ostateczny termin nadsyłania materiałów — 15 lutego 1929 r.

Do rodziców i nauczycieli!

młodzieży w wieku szkolnym i którego łamy służyłoby zarówno rodzicom, jak i nauczycielom do omawiania i wiązania ich poczynań wychowawczych w jednolitą całość.

Temu brakowi chcemy zaradzić przez wydawanie dwutygodnika dla — rodziców i wychowawców p. t. —

„WIEK SZKOLNY”

którego pierwszy numer wyszedł już z druku i zawiera następującą treść: Od Redakcji. Współzycie chłopców i dziewczynek — A. Z. Wołowska. O autorytet władzy — L. Marciszewski. Budujemy mosty (nowela) — Aleks. Aliszewski. Wychowanie dnia codziennego. Dużo pracy — dużo czasu — Władysław Kopczewski. O Kulturę życia codziennego — J. Prażmowska. Lekarz szkolny, a rodzice — Dr. I. Korsakówna. Marnowanie czasu, zabawa, czy wyrabianie charakteru — A. M. Narciszarstwo dla młodzieży — W. Prażmowska. Piszą do nas — L. Ch. Z książek dla młodzieży — Henryk Ładosz. Naprawa zabawek. Kronika

Redakcja i Administracja „WIEKU SZKOLNEGO” mieści się w Warszawie, przy Pl. Zamkowym Nr. 99, dokąd należy przesyłać prenumeratę, wynoszącą: rocznie 20 zł., kwartalnie 5 zł., miesięcznie 1 zł. 80 gr. Cena pojedynczego numeru 1 zł. (konto P.K.O. Nr. 18 800).

Dla rodzin pp. wojskowych, nauczycieli i urzędników państwowych i komunalnych — prenumerata ulgowa: kwartalna 3 zł. 75 gr., miesięczna 1 zł. 35 gr.

Tow. Wyd. „BLUSZCZ”.



JAK PRACUJĄ KOBIETY

I. Instruktor*ki* gospodar*cze*.

Pole ich pracy nie jest znowu tak bardzo duże, jakby to się mogło zdawać niejednej gospodyni z dawnych, przedwojennych czasów, kiedy to władza „pani” szła od ogrodu warzywnego i owocowego aż do „inventarza”, rozpierającego chlewy, obory i kurniki. Nie. Instruktor*ki* gospodar*cze* mają zakres działania cokolwiek ciaśniejszy, często goniący w kółko jednej tylko kuchni i spiżarni. Ale jaki jest zato ważny, jaki bardzo ważny, ho, ho! Żadna to, bowiem, sztuka rządzić wielką, jak świat, spiżarnią i wstawiać do niej przeróżne smakołyki, gdy głowa nie boli — skąd na to wziąć! — żadna sztuka spitrasić jakiś nadzwyczajny obiad, gdy masz pod ręką kucharza, dwóch kuchcików i cały sztab dziewczyn, co ci wszystko pod rękę podsuną!

Daleko większą sztuką jest w małym gospodarstwie tak umiejętnie powiązać koniec z końcem, żeby na wszystko starczyło, bez rozpaczliwego brania „na kredyt” pod koniec miesiąca i bez kołowatej pracy przy gospodarstwie od świtu do nocy.

Systemu w pracy i umiejętnego prowadzenia domu, choćby najskromniejszego, uczą się właśnie dziewczęta w Państwowej Szkole Nauczycielek Gospodarstwa, ale to nie jest dla nas teraz najważniejszym. Najważniejszym jest, jak te umiejętności zastosowują w życiu. Oczywiście, nie chodzi tu o własny dom — jest to sprawa jasna i zrozumiała — ale chodzi o to,

jak ta armia „białych czepeczków”, rozszana po Polsce, spełnia swoje obowiązki nauczania. Przede wszystkim armia ta nie jest bez wodza, gdyż przeważna część nauczycielek pracy domowej grupuje się przy istniejącej w Warszawie Szkole Pracy Domowej (Chłodna 28). Początkowo szkoła ta była jedyną; obecnie jednak ma w swoim zawiadywaniu cały szereg placówek tego rodzaju, które działają przede wszystkim na terenie szkół powszechnych. Mają jednak zupełną autonomję w stosunku do zarządu danej szkoły, korzystając tylko z lokalu. Każda z nauczycielek gospodarstwa podlega jedynie Zarządowi Szkoły Pracy Domowej, który wyznacza jej miejsce pracy i rozciąga nad tą pracą kontrolę.

Robota jednak nie jest specjalnie lekka: nauczycielka jest zajęta od 8 rano do 3-ej po południu, przerabiając kurs z coraz to inną grupą. Grupa składa się z 12 dziewcząt, z których każda ma przeznaczoną sobie robotę. Zajęcia mają również zasadniczy podział, a więc: gotowanie, pranie i porządki. Najgorzej jest, oczywiście, z porządkami. Brud i nieład są tak głęboko zakorzenione, że biedna nauczycielka nie może sobie dać rady z wyplenieniem ich. A chodzi przecież o to, żeby królestwo jej, — kuchnia, gdzie wtajemnicza swe pupilki w arkania wiedzy gospodarskiej, — aż błyszczało od czystości! Powoli jednak i porządki przestają być plagą egipską.

Inne zaś gałęzie „wiedzy“ podchwytyją dziewczęta dosyć łatwo i chętnie. Gotowanie, ta nieprzenikniona mądrość, powoli staje się rzeczą łatwą i przyjemną. Zaczyna się od rzeczy najprostszych, aby wreszcie spocząć na laurach po sporządzeniu jakichś niesłychanych kruchych ciastek. Co pewien czas nauczycielka organizuje „pokaz“, czyli sama przygotowuje niektóre trudniejsze potrawy, a później już dziewczynki—„jak za panią matką pacierz“. Bardzo to jest zabawne.

A teraz—najważniejsze chyba: ile też taka nauczycielka zarabia? Ano, za same lekcje ranne około 260 złotych. Nikt jej jednak nie broni mieć popołudniówek; wtedy ma sporo. Wogóle zapotrzebowanie tego rodzaju instruktorek jest duże. Sama Szkoła Pracy Domowej rozrasta się coraz więcej i poszukuje coraz to nowych sił do pracy.

Poza terenem szkół powszechnych istnieją jeszcze placówki społeczne, po wsiach i miasteczkach, poszukujące również instruktorek gospodarczych. Chodzi o zaszczerpienie najprymitywniejszych zasad racjonalnego prowadzenia domu i naszym wiejskim gospośm. Praca to jest bodaj trudniejsza, niż z dziewczynkami, bo jakże tu wytłumaczyć jednej i drugiej zadzierzystej babinie, że oto źle swoją gospodarę prowadziła!

Obrazi się i tyle. Trzeba ją tak jakoś ładnie podejść, a ująć sobie, a przetłumaczyć. Może co z tego i będzie.

Dużo, dużo pracy ma przed sobą ten szlak „białych czepeczków“, rozsianych po Polsce. Ciasne i małe jest ich królestwo, ale jakże ważne!

Zofja Miszewska.

UŚMIECHAJMY SIĘ

Temat, o którym pragnę mówić, nie jest nowy: poruszają go zwykle optymiści, to jest ludzie weseli. Powiecie może:—łatwo jest być wesołym, skoro jest się zdrowym i pozbawionym trosk!

A czyż możliwe jest przejść przez życie bez cierpienia? Ból jest wszak potrzebny: ma on znaczenie dietetyczne, jest przyprawą życia, podkreślającą radość; bez istnienia chmurnego cienia nie potrafilibyśmy odczuć błogości, jaką nas napawa słońce i jasna pogoda.

Zresztą, poza nielicznymi wyjątkami, prawie każdy człowiek ma swój własny powód do radości. Jeden posiada zdrowie, drugi—talent; inny cieszy się czyjąś miłością lub sam kocha; ten ma wdzięczne pole do pracy, tamten—miłe i oddane dzieci, czy majątek... Niechże więc każdy raduje się tem, co mu jest dane, zamiast martwić się, że mu czegoś brak. Niech się raduje i radość swoją bezustannie sobie uświadamia.

Wołam więc do wszystkich sióstr moich, do wszystkich kobiet:—bądźcie wesołe, uśmiechajcie się!

Z wołaniem tem zwracam się szczególnie do kobiet, gdyż mimo wszelkie nasze babskie narzekania na uposiedzenie naszej płci, — rola kobiety, jej przeznaczenie w życiu—są poprostu cudowne!

Jeśli doskonały typ męski — to człowiek w najlepszym znaczeniu tego słowa, człowiek bez reszty, — to doskonała kobieta winna być człowiekiem, plus uroda, wdzięk, uśmiech, dobroć. Wiele jest jej dane, ale też wiele się od niej wymaga!

Do niej wyciągają się rączki dziecięce po opiekę, naukę, pieśczoć; dla niej mężczyzna zdobywa środki do życia, dla niej częstokroć sięga po sławę, władzę...

Banalną wprost stała się prawda, że kobieta jest duszą domu. Niechże z niej na dom ten promieniuje wesołość, humor! niech życie rodzinne uśmiecha się przez nią i dzięki niej.

Każda z nas ma z pewnością tysiące większych i drobniejszych trosk i kłopotów. Prawda. Nie starajmy się jednak, jak to czyni wiele kobiet, wyolbrzymić ich znaczenia. Naprzykład: Marysia przy sprzątaniu stłucze wazon Gallet, albo talerz od serwisu. Zaraz wielkie zmartwienie. Skrzyzczana Marysia chodzi z opuchniętymi od płaczu oczami; pani dostaje migreny, chodzi żółta, zła, skrzywiona. I cóż takiego się stało? Trzeba wazon skleić, a skoro się nie da, wyrzucić go na śmiecie. Można najwyżej zwrócić uwagę służącej, aby była bardziej uważna. Można najwyżej westchnąć:—szkoda! taki był ładny! — I na tem koniec. „Il faut accepter de bonne grâce ce, qu'on ne peut pas empêcher“, jak mądrze powiada Stendhal.

Nie bądźmy zgryźliwe: od smutku niezawsze można się uchronić, od zgryźliwości — zawsze.

Radość jest wzruszeniem, wiodącym duszę do doskonałości; smutek, a szczególnie zgryzota, pozbawiają nas wszelkiej energii i ochoty do życia, która jest najwspanialszym darem Boskim. Należy nastrajać się ku radości, gdyż wtedy i ciało nasze, pozostające w ścisłym związku z duszą, ulega dobroczynnemu jej wpływowi.

Nic tak nie psuje urody kobiecej i młodego wyglądu, jak oddawanie się ponurym myślom; mimo to, ileż kobiet gryzie się nietylko z powodu zmartwień rzeczywistych, ale niejako „na zapas“, wiecznie przewidując i obawiając się czegoś złego? Niechże tego nie robią, na Boga! jeśli w trzydziestym roku nie chcą wyglądać, jak wyciśnięte cytryny! niechże pamiętają o tem, że najlepszym kosmetykiem jest wewnętrzna radość i dobry humor!

Gdy mówię o nieprzejmowaniu się kłopotami, nie znaczy to, abym zalecała jakąś ogólną obojętność na wszystko, co dzieje się wokoło nas. Przeciwnie. Człowieka żywego powinny przejmować wszelkie objawy życia; radujmy się dobrem, oburzajmy na zło i usiłujmy zwalczać je, w miarę naszych sił i możliwości.

Zapał, entuzjazm są dla natury tem, czem motor dla maszyny: — wprowadzają ją w ruch. Kobieta niewrażliwa, obojętna, jest, jak ślimak, wlokący się nudnie po swej ścieżce.

W nas samych, w naszym własnym ustosunkowaniu się do zjawisk życiowych leży pociecha lub zwątpienie, a sposób myślenia jest podstawą szczęścia. Nie wiedzą o tem tylko płaskie, drobne dusze, oddające się wiecznej trosce o byle co, przeważnie o drobiazgi, o braki i niewygody życia materialnego. Najlepszym środkiem uniknięcia kolizyj życiowych jest wzniesienie się ponad nie zapomocą wysiłku woli. Zdobędziemy wtedy jasny, wesoły pogląd, wypływający ze zrozumienia rzeczy wyższych, a troski nasze, niepodsypane ciągle myśleniem o nich, skurczą się i będą leżały małe i nieważne u naszych stóp.

Naogół biorąc, polacy nie są narodem wesołym. Stuletnia niewola wyrobiła w naszych charakterach skłonność do stałego przygnębienia, z dodatkiem niezdrowego i niemądrego kultu dla cierpiętnictwa.

Odwyczajmy się od tego. Zwalczajmy w sobie te niepotrzebne, nawet szkodliwe skłonności; nie pozwólmy, aby, jak rdza, przeżarły się do najgłębszych warstw naszego charakteru narodowego! Przecież do tego doszło, że nie potrafimy się publicznie weselić. Przyzwyczailiśmy się do takiego stopnia do różnych żałobnych obchodów i uroczystości, że w radosne święto dziesięcioletniego istnienia Polski niepodległej chodziliśmy po ulicach obojętni i osowiali, jakby nie było czem radować się, jakgdyby nie stał się Cud Odrodzenia!

Możemy i musimy się zmienić. Musimy poweseleć!

Kobieta, jako wychowawczyni człowieka od kolebki, ma tu duże pole do działania.

Niechże matki i nauczycielki nie tłumią w dzieciach wrodzonej i naturalnej wesołości ciągle strofowaniem: — a nie krzycz, a nie skacz, a bądź cicho! — Przeciwnie: niechże dadzą im możliwość wykrzyczenia, wyskakania radości swej, że żyją, że im dobrze na świecie. Należy umieć zdobyć się na cierpliwość słuchania hałasu i nie przekształcać małych ludzi już w zaraniu ich życia w opanowane i poprawne lalki.

Polka — żona i gospodyni domu — grzeszy również często roztaczaniem przed zmęczonym i spracowanym mężem drobnych trosk swoich i kłopotów. Niechaj zrozumie, że skłopotany i znużony człowiek niechętnie wraca do domu, gdy wie, że czekają go tam nowe kłopoty i zmartwienia, i zafrasowana twarz towarzyszkii życia. Klucz od góry! to ci dopiero powód! A jednak dzięki owemu nieszczęśliwemu kluczowi mężowie nieraz zmuszeni bywają wyrzec się poobiedniej drzemki i odpoczynku.

Kwestje, które poruszam obecnie, są banalne i znane aż do znudzenia; nie przenikają jednak do

statecznie do świadomości naszych pań, skoro tak często słyszy się narzekania mężów na zachmurzoną atmosferę domu.

A co dzieje się w biurach, gdzie pracuje tyle urzędniczek?

Zwracamy się uprzejmie po informacje do okienka, za którym rezyduje księżniczka w krepdeszynowej sukience. Znudzone to, skrzywione, złe! Odpowiada ci brzękiem wykarminowanych warg, na jakąś wesołą uwagę reaguje pogardliwym wzruszeniem ramion, albo ponurem, niemniej pogardliwym, milczeniem.

Dlaczego jesteś taka nachmurzona, księżniczko zpoza okienka? Jeśli masz jakie przykrości osobiste, to staraj się zapomnieć o nich, przynajmniej podczas godzin urzędowania. Tutaj, w biurze, obowiązkiem twoim jest mieć twarz pogodną.

Uśmiechaj się do interesantów, lecz nie tym zalotnym uśmiechem, przeznaczonym tylko dla młodych i eleganckich panów, ale pogodnym i życzliwym, jednakowym dla wszystkich, czy to będzie dziecko, prosty wyrobnik, czy starsza, może nawet trochę nudna pani.

Każdy z nich weźmie w siebie cząstkę tego uśmiechu, poniesie go dalej na miasto i przekaże innym, z którymi dane mu będzie mieć do czynienia, gdyż radość, zarówno jak smutek, są zaraźliwe.

Wszystkiego w życiu można się nauczyć, — radości też, nawet, gdy nie mamy do niej specjalnych powodów. Należy tylko pragnąć jej i siłą woli narzucać ją sobie niejako, a potem wejdzie w przyzwyczajenie, w nałóg, jak nałogiem bywa u niektórych oddawanie się zgryźliwym myślom. Naprzykład: spodziewamy się listu od kogoś kochanego. List nie przychodzi. Zamiast martwić się, pomyślmy: — jak to dobrze! przyjdzie zapewne jutro, a więc przedemną jeszcze leży radość z otrzymania go! — I już się uśmiechamy, pełni nadziei na jutro.

Ogromnie podobał mi się w Ameryce zwyczaj wywieszania w niektórych miejscach publicznych, jak biuro, bank, — napisów: „keep smiling“ — uśmiechaj się.

Jeżeli weseli i pełni humoru amerykanie uważają, że niedość się jeszcze uśmiechają, to w Polsce, tym klasycznym kraju kwaśnych min — gdyby to zależało odemnie — kazałabym rozwiesić podobne napisy we wszystkich biurach, urzędach, bankach, poczekalniach, dworcach kolejowych i kawiarniach, kinach — wszędzie.

Róża Czekańska-Heymanowa

Dr. med. J. ŚWITALSKA

POWRÓCIŁA I ORDYNUJE CODZIENNIE OD 10-ej
DO 11-ej, ORAZ W PONIEDZIAŁKI, ŚRODY I PIĄTKI
OD 8-ej DO 7-ej.

(Choroby skórne i Kosmetyka lecznicza).

KURSY IM. STASZICA DLA GOSPODYŃ WIEJSKICH

Gdy padła pierwsza myśl zorganizowania kursów dla gospodyń wiejskich, prowadzonych listownie, na wzór kursów popularnych dla gospodarzy, mieliśmy pewne wątpliwości co do ich powodzenia. Jakże głęboko myliliśmy się!

Powodzenie jest olbrzymie i stanowi wymowny dowód, jak bardzo silne jest pragnienie nauki wśród naszych gospodyń. Na kursy, rozpoczęte w listopadzie, zapisało się około 1000 uczestniczek, a liczba ich codziennie się zwiększa; jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę zapisy zbiorowe Kół gospodyń i młodzieży, możemy śmiało liczyć conajmniej na 2000 kobiet, korzystających z kursów.

Organizacja Kursów przedstawiała niemałe trudności; chodziło, bowiem, o danie wskazówek, opartych na nowych zasadach udoskonalonej pracy gospodarczej, dotąd bardzo mało — w polskich warunkach — wypróbowanych. Chodziło również o danie w przystępnej formie podstaw naukowych, do których nasze gospodynie mają często niedostateczne elementarne przygotowanie. Chodziło wreszcie o ujęcie wykładów o macierzyństwie i wychowaniu dzieci w taki sposób, który, nie rażąc kobiet, nieprzyzwyczajonych do naukowego traktowania tych tematów, dałby jasne i czyste podstawy higieny osobistej i dziecięcej.

Dalej, należało się zdecydować, jaki poziom dać kursom, których forma korespondencyjna wymagała pewnego przygotowania, a zakres musiał ująć określony poziom kultury i zamożności. Ostatecznie, po długim namyśle zdecydowano się na poziom dość wysoki, oparty na możliwie popularnym ujęciu naukowej organizacji pracy, kulturalnego, choć skromnego urządzenia domu, dietetyki, opartej na znajomości budowy i fizjologii ciała ludzkiego, składu pożywienia oraz zadań, jakie ono ma do spełnienia.

Kurs nie obejmuje, właściwie, przepisów kuchennych w dawnej ich formie, ale popularne towaroznawstwo i ogólne wskazówki, jak należy zestawiać i przygotowywać pokarmy, aby to, co spożywamy, szło na korzyść organizmu.

Obszernie traktowane przygotowanie zapasów spiżarnianych i piekarstwo ściśle są przystosowane do potrzeb wsi.

Sprawę macierzyństwa i wychowania niemowlęcia ujęła niezmiernie głęboko, poważnie i rzeczowo dr. Kasperowiczowa; wychowanie dziecka małego i młodzieży — p. Restorffowa, dając piękny wykład idealnego wychowania. Dr. Kacprzak, którego świetna książka „Zdrowie w chacie wiejskiej” stanowi najcenniejszą zdobycz naszej popularnej literatury, opracował „Budowę człowieka” i lekcję o „Zdrowiu i chorobie”. P. Szumlakowska — organizację gospodarstwa; p. By-

czyńska, instruktorka Kół gospodyń — urządzenie domu. Cały dział odżywiania i ogólne kierownictwo kursów powierzone zostały mnie; dla wszystkich pozostałych wykładów starałam się pozyskać siły nietylko wykwalifikowane, ale znające gruntownie wieś i jej potrzeby.

Dociągnięcie lekcji do jednego poziomu, zharmonizowanie ich tak, aby się dopełniały, ale nie zapełniały, — nie było rzeczą łatwą i niezawsze dało się przeprowadzić; ale naogół poziom został dociągnięty do granic możliwych, a treść jest tak ujęta, że gospodynie zarówno o elementarnem, jak i o dość wysokiem nawet przygotowaniu naukowem, mogą z nich odnieść bardzo poważne korzyści.

Na kursy, których cena jest bardzo przystępna, gdyż wynosi za 20 wykładów i poprawianie odpowiedzi tylko 25 zł., zapisały się przeważnie gospodynie o poziomie wykształcenia średnim, który był przewidziany zasadniczo, z niewielkimi odskokami w obie strony. Są to gospodynie małorolne oświecone, osadniczki, nauczycielki szkół powszechnych; gospodynie zawodowe, pracujące we dworach, w internatach wiejskich i na probostwach; nawet właścicielki większej własności, które z pewnych lekcji, np. organizacji gospodarstwa, odżywiania, macierzyństwa — będą mogły skorzystać niemało.

Odpowiedzi na zadania, dane do rozwiązania na końcu każdej lekcji, są często bardzo dobrze ujęte i dowodzą wielkiego przejęcia się uczennic pobieraną nauką.

Powodzenie kursów jest dowodem, jak żywiłowo szerzy się zainteresowanie sprawą postępu gospodarczego i jak dalece palącą jest potrzeba otoczenia go opieką naszych organizacji społecznych i rządu. Ponieważ czytelniczki „Bluszczu” mogą się zainteresować kursami dla gospodyń, więc podaję ich adres: Kursy im. St. Staszica w Warszawie — ul. Składowa 3.

M. Karczewska.



ODŻYWIANIE A ZDROWIE ²⁾

Chory na cukrzycę nie wytwarza dostatecznej ilości insuliny, substancji, niezbędnej do spalania, szczególnie węglowodanów. W początkowym stadium choroby pacjent może obyć się bez zastrzyków insuliny, o ile ze skrupulatnością przestrzega właściwej diety (patrz dieta I-a). O ile choroba jest już zaawansowana, pacjent może wybrać między dietą bardzo niską kalorycznie z b. mało ruchliwym trybem życia, a dietą, zbliżoną do normalnej, z dodatkiem zastrzyków z insuliny. Ponieważ obie te diety należy stosować jedynie za poradą lekarza, nie będziemy ich rozważać. Zapomocą jednak tabelki II pacjent może sobie ułożyć jadłospis, stosownie do ilości węglowodanów, tłuszczu i białka, przepisanej przez lekarza.

Dieta I-a na cukrzycę na 24 godziny, dająca 2500 kaloryj:

ROZŁOŻENIE NA 3 POSIŁKI

ILOŚĆ W GRAMACH

Rodzaj produktu	Śniadanie	Obiad	Kolacja	Ogółem
3 ⁰ / ₀ warzyw	—	250	250	500
6 ⁰ / ₀ warzyw	—	—	100	100
10 ⁰ / ₀ owoców	300	300	300	900
20 ⁰ / ₀ warzyw	—	125	—	125
Jajka	2 szt.	—	—	2 szt.
Boczek lub słonina	—	—	20	20
Mięso chude	—	—	75	75
Chleb	60	30	45	135
Masło	10	15	15	40
Śmietana 20 ⁰ / ₀	—	50	50	100
Kasza (sucha waga)	—	—	20	20
Mleko	100	—	200	300

ILOŚĆ W GRAMACH

Rodzaj produktu	Węglowodany	Tłuszcze	Białko	Ogółem
3 ⁰ / ₀ warzyw	15	0	5	
6 ⁰ / ₀ warzyw	6	0	1	
10 ⁰ / ₀ owoców	90	0	9	
20 ⁰ / ₀ warzyw	25	0	3	
Jajka	0	12	12	
Boczek lub słonina	0	8	4	
Mięso chude	0	20	34	
Chleb	72	3	12	
Masło	0	34	0	
Śmietana 20 ⁰ / ₀	4	20	3	
Kasza (sucha waga)	16	2	2	
Mleko	15	12	9	
Ogółem gramów	243	111	94	448
Ogółem kaloryj	980	400	1116	2496

W ten sposób dostarczymy pacjentowi około 2500 kaloryj dziennie, przyczem ogólna ilość składników pożywienia, wynosząca 469 gramów, jest równomiernie rozłożona na 3 posiłki (śniadanie 157, obiad 156 i kolacja 156), co stanowi nieodzowny warunek racjonalnie skonstruowanej diety. Ilość węglowodanów jest niższa, niż w normalnej diecie, a gdyby okazała

się potrzeba zmniejszenia ich jeszcze bardziej (gdyby pokazał się cukier w moczu), pacjent powinien zastosować dietę następującą:

Dieta II-a na cukrzycę na 24 godziny, dająca 2200 kaloryj:

ROZŁOŻENIE NA 3 POSIŁKI

ILOŚĆ W GRAMACH

Rodzaj produktu	Śniadanie	Obiad	Kolacja	Ogółem
3 ⁰ / ₀ warzywa	—	250	250	500
6 ⁰ / ₀ warzywa	—	—	100	100
20 ⁰ / ₀ warzywa	—	125	—	125
Jajka	2 szt.	—	—	2 szt.
Boczek lub słonina	—	15	15	30
Mięso chude	—	75	75	150
Masło	10	25	10	45
Chleb	25	—	30	55
Śmietana 20 ⁰ / ₀ , lub	—	—	—	—
Śmietanka	50	50	50	150
Owoce	275	225	300	800
Mleko pełne	100	—	200	300

ILOŚĆ W GRAMACH

Rodzaj produktu	Węglowodany	Tłuszcze	Białko	Ogółem
3 ⁰ / ₀ warzywa	15	0	5	
6 ⁰ / ₀ warzywa	6	0	1	
20 ⁰ / ₀ warzywa	25	0	3	
Jajka	0	12	12	
Boczek lub słonina	0	12	6	
Mięso chude	0	23	38	
Masło	0	0	0	
Śmietana 20 ⁰ / ₀ lub	28	12	5	
Śmietanka	6	39	5	
Owoce	80	1	8	
Mleko pełne	15	30	9	
Ogółem gramów	175	129	92	376
Ogółem kaloryj	700	1161	360	2221

Gdyby i przy tej diecie pacjent miał trochę cukru w moczu, można zmniejszyć ilość węglowodanów przez zastąpienie chleba sucharkami, których przepis podaję niżej, a natomiast, o ile pacjent nie zmniejsza ilości ruchu dziennie i potrzebuje około 2200 kaloryj, można podnieść ilość białka i tłuszczu, np. przez dodanie 2 jajek (12 gramów z białka, 12 gr. w formie tłuszczu; — patrz tabelka II), które dadzą 48 kaloryj w formie białka i 108 w formie tłuszczu.

Przy diecie, która zawierać musi małą ilość węglowodanów, a dużą ilość tłuszczu, należy go podawać z warzywami, lub grubo smarując w następujący sposób zrobione sucharki.

Namoczyć na kilka godzin 1½ szklanki płatków owsianych. Przelewać wodą na durszlaku, aż woda, splókująca płatki, będzie prawie klarowna. Wysuszyć płatki na brytfannie w piecu. Rozpuścić 1 łyżkę masła, zmieszać z płatkami. Dodać 1 jajko rozbite, 1 płaską łyżeczkę soli, 1 szklankę kwaśnego mleka z ¼ płaskiej łyżeczki sody. Kłaść łyżką na blachę do ciastek i piec w gorącym piecu. Cała

wartość tych sucharków wynosi 12 gramów węglowodanów, 28 gr. tłuszczu, 14 gramów białka, a więc należy uwzględnić to przy wprowadzeniu sucharków do dziennego jadłospisu.

Trzeba pamiętać, że powodzenie w leczeniu cukrzyki zależy głównie od dokładnego ważenia produktów i trzymania się właściwej diety.

Obliczywszy dietę według załączonych dwóch wzorów, należy jedynie ułożyć sobie menu, aby było ono interesujące. Wtedy bowiem chory nie ma pokus złamania diety (break the diet). Po śniadaniu więc pożądana jest pomarańcza, obecnie bardzo kosztowna, jednak niezastąpiona wśród owoców 10% (patrz tabelka II).

Jajka na miękko, albo sadzone na boczku, lub jakiś omlet piankowy. Przepisana porcja masła może być rozsmarowana na chleb lub sucharek, lub włożona do gorącej kawy wraz ze śmietanką, zamiast mleka. Mleko zaś może być zostawione do zaspokojenia głodu, który często nawiedza chorych na cukrzykę w ciągu dłuższej przerwy między śniadaniem a obiadem.

Na obiad należy, oprócz warzyw gotowanych (o ile możliwości na parze i podanych z przeznaczonym kawałkiem masła), podawać do mięsa sałatkę z surowych jarzyn, np. z szatkowanej kapusty, krajanej marchwi z tartem jabłkiem, lub z czerwonej kapusty, albo selerów poszatkowanych i sparzonych z sokiem cytryny i oliwą. Na deser — orzechy włoskie z bitą śmietaną lub owoce. Na kolację przewidziane mleko użyć można czasami do zrobienia zupy jarzynowej lub do deseru w formie mlecza, zamiast cukru używając sacharyny. Mięso na zimno można czasem wkrajać do sałatki z warzyw surowych i gotowanych i podać à la vinaigrette. Sucharki dla odmiany można zlekką zrumienić w piecu i podać na gorąco ze świeżym masłem.

Z doświadczenia wiem, że jednostajną, jak zwykle bywało, dietę na cukrzykę można urozmaicić jedynie przez zastanowienie się nad inną formą podania tychże samych produktów.

Marja Morzkowska,
mag. dietetyki



UNIWERSYTECKA SZKOŁA
PIELĘGNIAREK I HIGJENISTEK W KRAKOWIE

Otwarcie nowego kursu dnia 1 lutego 1929 r. Nauka trwa 2 lata; przyjmuje się tylko internistki. Wykształcenie: 6 klas gimnazjalnych lub równorzędne. Zgłoszenia: Dyrekcja Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarek i Higjениstek w Krakowie, Kopernika 23.

S O S Y

Przepisy różnych sosów zajęłyby tom spory, w ramach krótkiego artykułu jest dosyć miejsca tylko na wskazanie głównych, podstawowych sposobów ich przyrządzania

Po sosach naturalnych następują sosy zaprawiane, esencjonowane. Tutaj znajduje szerokie zastosowanie, ukochana przez polskie kucharki, zaprawka. Oprócz zaprawki białej i rumianej, sosy można zaprawiać chlebem, bułeczką, piernikiem, mąką kartoflaną. Bardziej szlachetne odmiany sosów zgęszcza się zapomocą żółtek z jaj, samych lub połączonych ze śmietanką, śmietaną, mlekiem, masłem i oliwą.

Dwa ostatnie sposoby znajdują zastosowanie w sosie holenderskim i w sosach majonezowych, podstawie większej części sosów zimnych.

Nakoniec mamy różne odmiany sosów, zgęszczanych czy zaprawianych rozmaitemi artykułami pochodzenia roślinnego, jak to: pomidory, chrzan, szczaw, powidła śliwkowe, marmelada owocowa, galareta porzeczkowa; ta ostatnia gra szczególnie ważną rolę w wykwinniejszej kuchni.

Zaprawka biała lub rumiana, racjonalnie wykonana, jest najprostszą i najtańszą przyprawą sosu. Na pierwszą używa się mąki pszennej, bardzo suchej i w dobrym gatunku, na drugą — takiejże mąki, ostrożnie i równomiernie zrumienionej. W każdym razie zaczyna się od rozpuszczenia na patelni ilości masła, równej co do wagi, z mąką, a zatem nieco większej od niej, co do objętości. Na masło sypimy mąkę, zasmażamy ją lekko, doskonale mięszamy, zdejmujemy z ognia, rozprowadzamy zimnym płynem: rosołem, mlekiem, wodą i t. p., rozrabiamy dokładnie i dopiero wtedy zagotowujemy. Jest to pewny sposób uniknięcia klusek, które przy dolewaniu gorącego płynu zawsze uformować się muszą. W czasie chłodnej pory roku można sobie zrobić większą ilość zasmażonego masła z mąką, czyli zaprawki. Ta ostatnia, szczególnie rumiana, może się konserwować na chłodzie bardzo długo, a zapas taki oszczędzi nam dużo czasu, potrzebnego do każdorazowego zaprawiania małej jej ilości. Za zasadę musimy przyjąć, że o ile inne tłuszcze znajdują szerokie zastosowanie w kuchni, o tyle do sosów możemy używać tylko masła, i to najlepszego masła. Chcąc nadać każdemu sosowi specjalną gładkość, to, co francuzi nazywają: „velouté“, należy do gotowego sosu włożyć jeszcze łyżeczkę od herbaty śmietankowego masła, wymieszać i, nie gotując już więcej, zaraz sos ten podawać.

Wszystkie sosy, zaprawione zaprawką, zyskują na smaku, jeśli są narazie przyrządzone dosyć rzadko i dopiero przez wolne gotowanie na brzegu blachy nabierają należytej gęstości. Gotowy sos, o ile ma być podany później, należy wstawić wraz z rondelkiem

do drugiego, większego rondla, napełnionego gorącą wodą. W taki sposób może stać czas dłuższy, nie stygnąc, nie gęstniejąc i nie tracąc smaku.

Zupełnie w inny sposób traktujemy sosy zaprawiane żółtkami. Do takich należą przede wszystkim różne słodkie sosy śmietankowe i mleczne, oprócz tego różne sosy do mięsa i ryb, przeważnie wykwińnięjszego typu. Takiego sosu nie wolno zagotować, gdyż żółtka się zwarzą. Trzeba go ogrzewać, wciąż mieszając łyżką, lub trzepiąc trzepaczką aż do chwili, kiedy osiągnie największą gęstość i zacznie parować. Wtedy odstawia się go od ognia. Większość takich sosów daje się trzymać czas jakiś w drugim rondlu z gorącą wodą;—niektóre, jednak, jak sos holenderski do ryb, muszą być natychmiast podawane, aby masło nie odłączyło się od jaj.

Mówię tutaj o prawdziwym sosie holenderskim, w którego skład mąka wcale nie wchodzi. Ten sos holenderski jest gorącym odpowiednikiem sosów majonezowych, na które się składa emulsja z jaj i oliwy. Sosy te mają też skłonność do warzenia się, czyli odłączania się oliwy od żółtek. Aby utrwalić to połączenie, dodajemy do takich sosów kwasu, czy to w postaci soku cytrynowego, czy też octu. Dobrym sposobem zabezpieczenia takiego sosu od zwarzenia, jest użycie łyżki białej, mącznej zaprażki przy początkowym przyprawianiu sosu; należy tylko brać jej niedużą ilość. Już zwarzony sos można często poprawić, dolewając do niego kieliszek zimnej wody. Jest to środek prędszy i pewniejszy od dawnego: zaczynać kręcić znowu ze świeżym surowym żółtkiem.

U naszych sąsiadów, Niemców, mąka kartoflana wchodzi w skład każdego prawie sosu, jako środek zgęszczający, nadający zawiesistość; polska kuchnia, na szczęście, tego środka nie używa, jeśli chodzi o sosy do mięs, ryb i jarzyn. Natomiast znajduje kartoflana mączka szerokie zastosowanie w sosach słodkich, głównie—owocowych. Doskonałym dodatkiem do nich jest też mączka ryżowa i najdrobniejsza mączka kukurydzowa (mondamina). Niestety! obu tych mączek u nas w handlu w stanie czystym wcale niema. Mondamina stanowi podstawową część składową proszków tak zwanych budyniowych, a ryżową mączkę możemy oglądać tylko w postaci krochmalu do bielizny, lub pudru.

Pozostaje mi tylko powiedzieć o kilku środkach, nadających ostrość sosom. Te przyprawy są to: musztarda w proszku, lub już przyrządzona, papryka, mało u nas używany proszek angielski „curry”; z ostrych sosów butelkowych — Cabul i Worcester. Wszystkie te środki, umiejętnie i ostrożnie użyte, ogromnie podnoszą smak odpowiednich sosów. W rekach jednak mniej doświadczonych gospodyń i kucharek—dają rezultaty raczej ujemne. *Pani Elżbieta.*



CZYSTY BARSZCZ POMIDOROWY

Pół kilo kruchych kości wołowych i kawałek nieduży (20 deka) nietłustego, wędzonego boczku nalać dwoma litrami zimnej wody. Włożyć sporą marchew, mniejszą pietruszkę, zrumienioną na blasze cebulę i kawałek selera. Zagotować na dużym ogniu, zszumować, postawić na brzegu blachy, aby się wolno gotowało. Posolić, wrzucić listek, kilka ziarn zieleńki i pieprzu. Niech się tak gotuje dobrą godzinę.

Tymczasem włożyć do rondelka dziesięć deka najlepszego masła i pięć łyżek konserwy pomidorowej (kupnej). Jeżeli mamy domowe pomidory, konserwowane z salicylem na surowo, należy ich wziąć półtorej szklanki, gdyż są wprawdzie smaczniejsze, lecz znacznie rzadsze. Dusić pomidory z masłem na wolnym ogniu. Przed samem podaniem rozprowadzić je rosółem, zagotować raz. Jeśli nie dość kwaśne, dodać trochę soli cytrynowej (kwasku) i natychmiast podawać.

Taki barszczyk podaje się w filiżankach; do niego jakieś ostre grzaneczki lub paszteciki. Z tej ilości wyjdzie około 10-ciu filiżanek.

DUŻA RYBA Z MAŁYCH RYB.

Jeżeli jest trudność dostania dużej ryby, a chcemy jej mieć ładny półmisek, możemy zrobić z najmniejszych rybek — rybę faszerywaną po żydowsku.

Jakiebaż nieduże ryby, oczyszczone, jak zwykle, obieramy starannie z ości. Ości te i głowy należy nastawić na smak, w którym będziemy rybę gotowali, dodając do nich dużą marchew, takąż pietruszkę, parę cebul, pieprzu, zieleńki, ze dwa listki, i zalewając taką ilością wody, aby potem przykryła rybę. Na dwa kilo ryby, już bez ości, dodać czterdzieści deka czerstwej bułki, wymoczonej i dobrze odcisniętej, cztery całe jaja, dwadzieścia deka utartej na tarce cebuli, i przepuścić to wszystko razem przez maszynkę. Posolić dobrze, popieprzyć (najlepiej białym pieprzem), wyrobić dobrze ręką, dolewając szklankę zimnej wody.

Tymczasem z czystego płótna uszyć długą torebkę, tak długą, jak wanienska, którą posiadamy, a tak szeroką, jak zwykle szeroki bywa 3-kilowy szczupak. Torebkę tę sparzyć gorącą wodą, wyjąć doskonale. Nałożyć w nią luźno rybnego farszu, zawinąć mocno końce i włożyć w gotujący się smak. Gotować godzinę i kwadrans od chwili zagotowania. Wyjąć rybę wraz z kratką, na której się gotowała, aby nieco ostygła. Z cieplej jeszcze zdjąć płótno, przecinając ostrożnie szew. Jeśli mamy zamiar podać na gorąco, — krajemy ją zaraz ostrym nożem w plastry, układamy na półmisku, ubieramy kartoflami z wody, zieloną pietruszką itp.

Na smaku, w którym się ryba gotowała, należy zrobić sos musztardowy, chrzanowy lub pomidorowy i podać go w sosjerce.

Jeśli ryba ma być podana na zimno, owijamy ją zpowrotem w płótno, w którym się gotowała, aby, stojąc, nie obeschła. Smak z niej należy precedzić, sklarować białkiem, precedzić powtórnie. Zaprawić żelatyną, biorąc na każdą szklanę rosołu zimną dwa, latem trzy listki żelatyny. Przed podaniem krajemy rybę, posypujemy drobno posiekaną galaretą, ubieramy jajami na twardo, ogórkami świeżymi lub solonymi, grzybkami, korniszonami, plasterkami pomidora, całymi gotowanymi rakami—tem, co mamy do dyspozycji.

Do takiej zimnej ryby można podać chrzan z octem, sos majonezowy, tatarski lub musztardowy. Z tej ilości można nakrajać na dwa średniej miary półmiski do ryb.

KASZTANY Z KREMEM.

Czterdzieści deka kasztanów obrać na surowo z grubych łupin i nastawić w zimnej wodzie. Gdy są napół ugotowane — odlać, ściągnąć z nich wewnętrzne skórki. Włożyć do rondelka, zalać mlekiem, aby je pokryło, wsypać dwie łyżki cukru, włożyć pięć deka śmietankowego masła i kawałek wanilii. Dusić na wolnym ogniu, często od dna mieszając, dopóki się zupełnie nie rozgotują. Odstawić, aby ostygły. Pół litra śmietanki lub niekwaśnej śmietany ubić na krem, zmieszać z dziesięcioma dekami cukru utłuczonego z wanilią. Ostudzone kasztany przetrzeć przez rzadkie sito lub takiż durszlak; nie gniotąc, ułożyć na półmisku w piramidę, obłożyć śmietankowym kremem i podawać. Można tę potrawę ubrać jeszcze konfiturami i obłożyć wkoło biszkopciakami lub makaronikami, lecz nie jest to konieczne, gdyż sama przez się jest bardzo smaczna i apetycznie wygląda.

Pani Elżbieta.

UJEMNY BILANS HANDLOWY, A REKLAMA

Przyczyny zalewu rynku krajowego wyrobami zagranicznymi nie należy szukać w wyższej jakości tychże (Liczne już mieliśmy dowody tego, że wyroby naszego przemysłu nie ustępują, co do jakości, produktom zagranicznym), lecz w niedość silnie rozwiniętej propagandzie na rzecz naszych wyrobów.

W branży perfumeryjnej mamy najjaskrawsze tego dowody. Przypuszczać należy, że i ten błąd zostanie wkrótce naprawiony. Ukazało się luksusowe wydawnictwo propagandowe, wydane przez fabrykę perum H. Żak — Poznań. Jest to album o ozdobnej okładce, zawierający około 20 fotografii wybitnych artystek i artystów scen polskich, wykonanych pięknie na wykwinnym papierze ilustracyjnym. Godne specjalnej uwagi są głosy naszych ulubieńców z teatru i ekranu, które świadczą o przyłączeniu się do ogólnej akcji popierania przemysłu krajowego. Opinja ich, jako wybitnych znawców perfum, jest najlepszym dowodem, że krajowy przemysł perfumeryjny, ze znaną Fabryką Henryk Żak w Poznaniu na czele, stoi na wysokości swojego zadania.

KORESPONDENCJE

Pani L. B. — Ciecierówka. Bieliznę przyzwoitą, ładnie uszytą i wyhaftowaną, dostanie Sz. Pani gotową i na obstalunek u Krausego (Mazowiecka 11). Poza tem stara, znana firma Urbański i S-ka (Wierzbowa 2) jest godna polecenia. Poduszki powinny mieć 83 na 85 cm. — Zdobi się poszewki przeważnie mereżkami i haftem angielskim, Monogramami na żądanie możemy służyć Sz. Pani — cena zależy od wielkości. Co do wyprawy, szczegółowe wyliczenia podamy w następnym numerze.

Pani O. D. — Rajsko. Wykonanie haftu Toledo znajdzie Sz. Pani w zeszycie „Modnych Robót”. pt. „Ozdabianie bielizny”. Wkrótce wyjdzie specjalny zeszyt, poświęcony tylko tej robocie.

Pani W. L. — Czarnków. Po ukończeniu wydawania premij z przyjemnością uczynimy zadość życzeniu Sz. Pani.

Pani J. Sz. — Katowice. Ma Sz. Pani rację, chcąc oddać córceczkę do jednego z zakładów wychowawczych w Rabce. Miejscowość ta znana jest ze swoich doskonałych warunków zdrowotnych, zwłaszcza dla dzieci, które zarówno w lecie, jak i w zimie dobrze się tam czują.

Przystępne warunki pobytu (pokoje z utrzymaniem od 10 do 18 zł. plus opał 1—50 dziennie) czynią pobyt w tem uzdrowisku dostępnym dla każdego.

Pani S. M. — Romaszki. Trudno mi poradzić Sz. Pani, nie znając warunków osoby, o której Sz. Pani wspomina. Sądzę, że najlepiej zrobią Panie, sprowadzając zeszyt „Życia praktycznego” Nr 50, p. t. „Współczesne umeblowanie”; znajdą w nim Panie cenne wskazówki, dotyczące tych kwestyj.

Pani Z. S. — Warszawa. Niech Sz. Pani zwróci się do firmy Szober i Szymczyk — Marszałkowska 72 — albo do firmy Jodłowski — Marszałkowska 81.

Pani W. S. — Lwów. Uczynimy zadość życzeniu Sz. Pani i przyślemy dwa komplety serwetek według wskazanego wzoru, jednakże po sześć jednakowych — zaczynanie bowiem każdej innej i debieranie do niej bawełn, jest narazie wykluczone. Po otrzymaniu odpowiedzi, cenę dodatkowych serwetek oznaczmy.

Pani S. R. — Warszawa. Z miejscowości klimatycznych, odpowiadających warunkom, wymienionym przez Sz. Panią, godne polecenia są Otwock i Szczawnica. O ile chodzi Sz. Pani o odległość i koszt podróży, radzę wybrać Otwock. Miejscowość ta posiada wybitne warunki lecznicze w dolegliwościach, na które uskarża się Sz. Pani. Urządzenia ma kulturalne, opiekę lekarską pierwszorzędną — ceny mieszkań i utrzymania przystępne — w sanatorjach pokój z całkowitem utrzymaniem i opieką lekarską kosztuje od 20 do 24 zł. dziennie od osoby — w pensjonatach od 10 do 20 zł. dziennie. Dla osób, nie liczących się z oddaleniem i kosztami — Szczawnica posiada wysokie walory — cudownie położona, swem balsamicznym powietrzem przywróciła zdrowie niejednemu zagrożonemu ciężką chorobą. Sezon o charakterze klimatycznym (bez picia wód i kąpeli) trwa od listopada do kwietnia. Taksy zdrojowej w zimie niema. Cena pokoju z doskonałym, całodziennym utrzymaniem, opałem i światłem, — od 13 do 14 zł. dziennie.

Komunikacja kolejowa do Starego Sącza, skąd dwa razy dziennie chodzą pocztowe autobusy do Szczawnicy.

ZABURZENIA W TRAWIENIU PRZEWLEKŁE, UPORCZYWE ZAPARCIA STOLCA, ORAZ NADMIERNĄ OTYŁOŚĆ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, USUWAJA „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA” (z KOGUTKIEM). SPRZEDAJĄ APTEKI I SKŁADY APTECZNE. — GŁÓWNY SKŁAD: APTEKA A. GAŚCIECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.





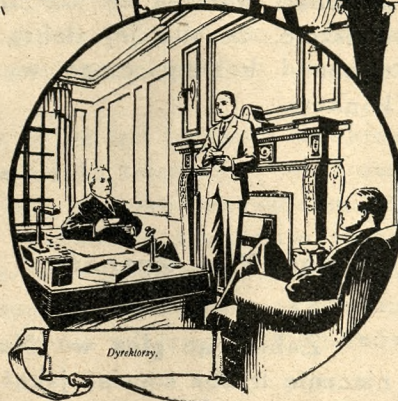
Business Life.

NA powyższym obrazku widzimy z lewej strony "Bank of England," która to instytucja stosownie do wydanego w roku 1844 rozporządzenia, dotyczącego prawa bankowego, kontroluje od tego czasu finanse Wielkiej Brytanji. Dalej nieco widoczna jest kolumnada frontu gmachu giełdy londyńskiej.

W czasach obecnych, kiedy człowiek dzięki uruchomieniu linii lotniczych podróżuje z szybkością 200 km. na godzinę, kiedy ma możliwość telefonicznego porozumienia się z kontrahentem, znajdującym się w miejscowości o 6000 km. oddalonej, a tem samem załatwia w przeciągu 2 minut sprawy, których załatwienie przed 100 laty wymagało do dwóch miesięcy czasu i więcej, cenna jest każda minuta.

Stare przysłowie "czas to pieniąż" nie miało nigdy tak wielkiego zastosowania, jak w czasach obecnych, a szef firmy uważa te 5 minut, które spędza wraz ze swymi współpracownikami przy filiżance herbaty Lyons'a jako pożytecznie spędzony czas.

Niema bowiem napoju, którego wzmacniająca wartość byłaby większa, niema napoju, któryby był odpowiedniejszym środkiem ożywczym dla organizmu i ducha człowieka wycieńczonego pracą w trudnej walce o byt, niż herbata Lyons'a.



HERBATE LYONS'a

podają we wszystkich lepszych kawiarniach i cukierniach. Herbata ta słynie w Anglii od wielu lat. Zarówno dla Was, jak i dla każdego innego kraju specjalnie i w różnych wielkościach opakowana, aby wszelkim wymaganiom zadośćuczynić.



WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
 SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
 I PERFUMERJE. - GŁÓWNY SKŁAD:
 APTEKA A.GAŚECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

HEMOROIDY, CZOPKI HEMOROIDALNE, "VARICOL"
 USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE I KRWA-
 WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYŁAKI). - SPRZE-
 DAJĄ WIĘKSZE APTEKI. - SKŁAD GŁÓWNY -
 APTEKA A.GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
 ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.
Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr. **Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.**
Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.
Druk. Zał. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 6, tel. 244-18.

Nasza Mównica

H. Ryszkowska — Siedlce.

Niedawno w Dzienniku Urzędowym M. W. R. i O. P. ogłoszony został konkurs na stanowisko zastępcy inspektora szkolnego okręgu łódzkiego. Rzecz byłaby zwykła i konkurs interesowałby jedynie kandydatów, gdyby nie pewna osobliwość, która rzuciła mi się w oczy, a było nią podanie do wiadomości, że „przy równych warunkach—pierwszeństwo mają kobiety“.

A więc mowa tu nie o równouprawnieniu, które, jeśli chodzi o stanowisko inspektora szkolnego, już byłoby w dzisiejszych czasach czemś niezwykłym, lecz o pierwszeństwie, czyli pewnego rodzaju wyróżnieniu. Wyróżnienie to zresztą, zdaniem mojem, jest zupełnie słuszne.

Wiele istnieje takich zawodów, w których kobiety, mimo zdobytego równouprawnienia, z rozmaitych względów stanowią i stanowiąc będą mniejszość. Wychowanie—to rozległy teren pracy, najwłaściwszej dla kobiety, to zawód, w którym każda niemal stać się może mistrzynią, odpowiada on, bowiem, najbardziej jej zdolnościom, umiłowanym i wrodzonym popędom. To też jest rzeczą naturalną, że najwięcej kobiet temu zawodowi się poświęca.

Tysiące ich pracują w szkołach, zarówno średnich, jak i powszechnych. Wyższych jednak stanowisk w szkolnictwie — a do nich trzeba zaliczyć stanowisko inspektora szkolnego — kobiety nie zajmują prawie wcale (Wyjątki są bardzo nieliczne!). Nie dlatego, bynajmniej, że musiałyby się podjąć zbyt ciężkich obowiązków, że nie mają zdolności kierowniczych lub odpowiedniego wykształcenia—ot, poprostu, są odsunięte przez mężczyzn, których ambicjom odpowiadają owe „wyższe“ stanowiska. Że jednak tak się stosunki ułożyły, a co gorsze, że kobiety pogodziły się z istniejącym stanem rzeczy—szkoda wielka! Jeśli już nie pierwszeństwo, to przynajmniej równouprawnienie słusznie im się w tej dziedzinie należy. Dość przejrzeć literaturę pedagogiczną swoją i obcą, aby się zorientować, jak wielką rolę odgrywa kobieta w tworzeniu nowych dróg wychowania i nauczania.

Gdybym mogła być reformatorką szkolnictwa to w dużych okręgach, w których pracują: inspektor i jego zastępca—administrację powierzyłabym mężczyźnie, dział zaś metodyczno-pedagogiczny—kobiecie, i jestem pewna, że szkolnictwo zyskałoby bardzo. Zresztą, o wartości pracy kobiety na stanowisku inspektorki mówię nietylko przez sympatję dla swej płci. Przez miesiąc obserwowałam pracę jednej z bar-

dzo nielicznych inspektorek i widziałam, że nietylko wszystko było prowadzone umiejętną ręką, ale i ogarnięte kochającym sercem, na co inspektorzy najczęściej zdobyć się nie potrafią.

W Łodzi, w której oświata, dzięki należytej troskliwości, rozwija się jak najpomyślniej, zrozumiano wreszcie, że dla jej dobra do współpracy powołać trzeba i kobiety, czego wyrazem był wspomniany konkurs.

P. Mar. K. — Poznań.

Zabierając głos w „Naszej Mównicy“, niekoniecznie trzeba stawiać jakąś kwestję ze znakiem zapytania, otwierać temat do dyskusji—rozwijać w niej należy nietylko rzucane projekty, lecz prowadzić przegląd dokonanych akcji, realizujących się planów, by z pomocą szerszego ogółu usuwać piętrzące się trudności. Kierując się tą myślą, przedstawię jeden z zakresów działania Sekcji Społecznej Organizacji Studentek U. P.

Na Zebraniach Sekcji nieraz wyłaniało się w dyskusjach zdanie, iż szerszym rzeszom koleżanek brak zainteresowania się zagadnieniami społecznymi wogóle, kobiecemi — w szczególności. Brak ten tłumaczyć można wielu powodami. Są całe setki koleżanek, którym zarzutu z tego zrobić nie można. Praca zarobkowa, łącznie ze studjami, wypełnia im dzień cały — w chwilach wolnych brak sił na poważne zagadnienia. W ten sposób dużo dzielnych pracowniczek na terenie naszym odpada. Jest to fakt, z którym liczyć się trzeba, lecz zapobiec mu nie jesteśmy w stanie.

Licniejsze jednak są te rzesze koleżanek, które w nieświadomości przechodzą obok istotnych dla kobiety współczesnej zagadnień—które nie miały poprostu okazji zapoznać się z nimi — a same nie odczuwają potrzeby, by wyjść im naprzeciw. Z obojętnością tą i nieświadomością postanowiłyśmy walczyć. Jednym ze środków jest założona Czytelnia czasopism, omawiających sprawy społeczne z życia kobiet. Wobec nasuwających się trudności, początkowy nasz plan uległ w praktyce znacznemu skróceniu. Pomijając już kwestję finansową, o której ważności nikt chyba w tym wypadku nie wątpi, ważną przeszkodą był fakt, iż brak nam było racjonalnych wskazówek. Nie zdołałam, mimo gorliwych w tym kierunku poszukiwań, znaleźć biblioteki ani czytelnicy, któraby pisma takie w większej ilości miała zebrane.

Pomocą w tym względzie stała się nam Czytelnia Kat. Zw. P., udzielając chętnie licznie zebranych wydawnictw kobiecych.

Czytelnia nasza działa już od szeregu tygodni — w miłej Świątlicy Domu Studentek; dostałyśmy też niektóre tygodniki społeczno literackie. Z przyjemnością stwierdzamy, iż największą poczytnością cieszą się nasze polskie pisma.

Nie chcemy jednak poprzestać na posiadanych pismach, lecz pragniemy zakres naszej Czytelni stale rozszerzać.

W tym celu zwracam się z uprzejmą prośbą do Szanownych Czytelniczek, które posiadają pisma kobiece, lub orientują się w ich wydawnictwach, by zechciały nam sprawę ułatwić przez podanie adresu redakcji, z ewentualnem objaśnieniem zakresu poruszanych zagadnień. Odpowiedzi proszę uprzejmie kierować wprost do Organizacji Studentek w Poznaniu (Zamek)—o ile możliwości z okazowym numerem, który zwrócimy.

Otworzenie Czytelni nie jest jedynym środkiem do walki z obojętnością wśród koleżanek—jak i owa obojętność jest wynikiem nietylko nieświadomości. Dużo możnaby o tem powiedzieć, a wszelkie uwagi i obserwacje w tym kierunku mogą się przyczynić do dokładnego poznania naszego środowiska akademickiego—tem samym do obrania właściwych kierunków działania.

Słuchamy więc...

P. H. P. — Królewska Huta, w odpowiedzi Lwowiance.

W przeciwieństwie do autorki, inicjującej dyskusję, sprawę samotnych kobiet uważam za bardzo ważną i aktualną choćby dlatego, że liczba kobiet przewyższa liczbę mężczyzn na świecie, i że z tej i z wielu innych przyczyn coraz większy odsetek samodzielnych, a niezamężnych kobiet pozostaje w społeczeństwie i coraz częściej zajmuje należne im miejsca.

Oczywista, że wśród tych kobiet znajdują się także i rozwódki, i wdowy, których życie nieraz jest cięższe, niż życie pańien, choćby z powodu trudności w uzyskaniu posady, wychowaniu dzieci itd.

Bezpośrednio będę mówić o „panieńskich potrzebach“ i bolączkach. Zauważę najpierw pozornie śmieszną rzecz: oddawanie przez mężczyzn i przez ludzi wogóle, większego szacunku mężatkom, niż pannom, jedynie z tytułu obrączki ślubnej. Na wsi panie, choćby miała kopę lat, mówią po imieniu, albo wprost „ty“ i tykają daną kobietę wszyscy: dzieci i starzy, natomiast mężatce, nawet bardzo młodej, prawie wszyscy „dwoją“:

— Jakóbowo, pójdźcie, weźcie...—niech Janowa idzie.

Małe dzieci całują mężatkę w rękę, panny — nigdy: choćby najlepszej lub najstarszej.

Tyle—wiesz. Wśród inteligencji panowie całują mężatki w rękę, mężatce przyznają pierwsze miejsce; trafiają się nawet mężatki, czekające, aby koleżanki, np. nauczycielki, równe im wiekiem i wykształceniem, kłaniały się im pierwszeń! Te same panie i wielu panów patrzą na panny z pogardą, ironją, w najlepszym razie—z politowaniem.

Skąd się wzięło takie ustosunkowanie mężatek i mężczyzn do pańien i utrzymało nawet w czasach dzisiejszych, gdzie całość rodziny i nierozzerwalność małżeństwa w przerażającym tempie są rozrywane?

Czy jest to społeczny instynkt zachowania gatunku?

Tak było ongiś, gdy kwestja rozmnożenia malej liczby ludności była palącą potrzebą narodowo-społeczną; dziś nie jest w tym stopniu aktualna, czego dowodem — kwestja przeludnienia i świadomie bezdzietne małżeństwa.

Czy raczej istota zagadnienia nie wypływa z małości naszych dusz kobiecych, które dopiero przez mężów stają się wielkie, wyniosłe, niegrzeczne, ironiczne, bo nie są zdolne odczuć wartości własnej, no i nie chcą nic samodzielnie tworzyć? Czy to nie upokarza, szczególnie wtedy, gdy mąż jest zerową wartością?

Tembardziej śmieszny jest zwyczajowy szacunek dla mężatek tylko, że właśnie owe niemężatki zasługują wielokrotnie na prawdziwy szacunek i uznanie dla swoich zalet własnych, nie mężowskich splendorów—nie dlatego, że: pani profesorowa, radczyni, doktorowa itd.,—ale dlatego, że: profesorka, doktorka, adwokatką itd.

Mieć bylejakiego męża, być bylejaką żoną i matką jest przecież tak łatwo! Byle zerwać z własnym arystokratyzmem ducha, byle wyrzec się ideału. Czasem czyni to kobieta w imię instynktu macierzyństwa: chce mieć dziecko—ale czy słusznie czyni, biorąc męża „na miarę krawca, nie Fidjasza“? Sądzę, że czyni bardzo źle i pokutuje za to całe życie, płacąc swem sercem i godnością za dziecko. Czyż nie lepsza samotność?!

Życie samotne ma swoje róże i kolce: daje swobodę, niezależność, sprzyja rozwojowi wrodzonych zdolności, jest wygodne; ale równocześnie (tak u mężczyzny, jak u kobiety) może rozwinąć sobkostwo, gorycz, pesymizm, dziwactwa.

Jak temu przeciwdziałać,?

W samotności najprzykrzejszy jest brak opieki w razie choroby lub starości, niemożność dzielenia się swemi myślami, brak miłości, brak świadomości, że jesteśmy uczuciowo komuś potrzebni. Czy jednak zawsze zaspokaja te nasze potrzeby mąż, rodzina? Życie nas uczy, że najsmutniejszym jest człowiek nieraz wśród rodziny, o ile tam nie znajduje zrozumienia.

Natomiast zawsze przyjaźń ofiaruje przyjaźni: opiekę, serce, zrozumienie.

Znam wypadki wzruszającej kobiecej przyjaźni, która wykazała tyle miłości i poświęcenia, że w rodzinach rzadko podobny stosunek spotkałam.

Twórzmy więc kobiece związki przyjaźni, twórzmy wspólne mieszkania przyjaciółek, nie czekając na dom staruszek, jak proponuje Lwowianka. Tamto będzie na później, będzie kosztowało wiele pieniędzy i wiele starań.

Wspólnie zamieszkać możemy już dziś na wzór domu akademickich, rzucając niemiłe, drogie, nieprzytulne odnajmowane pokoje, gdzie zawsze człowiek obco się czuje.

Można starać się o mieszkanie kilkupokojowe, gdzie każda z nas będzie miała oddzielny kącik, ale także wspólny pokój zebrania towarzyskich, gawęd, zabaw, wypoczynku.

Tęsknotę za dzieckiem może kobieta zaspokoić, biorąc na wychowanie jakieś cudze dziecko, zapewniając sierocie macierzyńskie serce. Tak przecież czynią bardzo często bezdzielni małżonkowie.

Pozatem pustkę życiową może wypełnić zawód, ale tylko wtedy, gdy jest naszym umiłowaniem, ideałem naszych najlepszych pragnień i wysiłków.

Ostrzegam kobiety, aby do wspólnych mieszkań i do wspólnych domów dla staruszek (w przyszłości) wniosły dużo radości, wyrozumiałości, miłości, przebaczenia, cierpliwości; bo inaczej dom taki stałby się piekłem, zamiast — rajem.

Na zakończenie, stawiam pytania: 1) Jaki typ kobiet najbardziej się podoba mężczyznom i wychodzi z nich za mąż? 2) Jakie kobiety są najszczęśliwsze w nierozdzielnym związku małżeńskim? 3) Dlaczego tyle kobiet wartościowych nie wychodzi za mąż?

Odpowiedzi mogą być cennym materiałem przy kształtowaniu charakteru kobiety dzisiejszej.

M. B. z Lubelskiego, w odpowiedzi p. E. M. z Wilna.

P. E. M. z Wilna charakteryzuje przedziwną koszmarną znojną niedolę codzienności kobiety wśród drobiazgowych, przeżerających monotonością, zajęć w domu rodzinnym.

Obraz i rozpaczliwy i — trzeba przyznać — realny. Tak bywa.

Tak często bywa... Ale... tak nie powinno być i tak nie będzie jutro... o ile, rozumie się, poszukamy i znajdziemy na to radę.

Istota zła tkwi w tem, że: za dużo jest drobiazgów życiowych i pseudo gospodarskiej krętaniny w dzisiejszym naszym życiu. Są to przeżytki, które można i trzeba usunąć, w pewnej mierze przynajmniej.

Do niedawna kobieta była panią i gospodynią oraz wychowawczynią swoich dzieci i poza tę sferę wyjątkowo tylko wybiegała czynem czy myślą. Wobec zmienionych warunków obecnych, obciążających kobietę nowymi obowiązkami, należy odciążyć ją z in-

nych zajęć i pójść po linii uproszczenia życia domowego.

Obecnie przeżywamy okres przejściowy, kiedy nowa praca już jest, a dawna dopiero zaczyna zsuwać się z barki kobiecych — i dlatego jest tak ciężko. Nie da się zaprzeczyć, że już zarysowuje się wyraźnie tendencja do uproszczenia i zmechanizowania gotowania, sprzątanego — wszystkich wogóle prac, dawniej wyłącznie wykonywanych w domu, dziś przesuniętych poza dom.

Sądzę, że z ulgą na sercu niejedna pani Ala przeczyta artykuł (w 1-szym N-rze „Bluszczu”) „Elektryczność na usługach gospodarstwa”. Rumsztyk, upieczony w 30 sekund, jaja sadzone — 2 sekundy, kartofle — 15!.. Miejmy nadzieję, że z czasem wszystko pójdzie po tej linii ukulturalnienia gospodarstwa domowego.

Drugim złem jest nieumiejętność bardzo wielu gospodyń zorganizowania tych drobiazgowych zajęć, które, znizane, jak paciorki, na sznur kolejności i uproszczeń, odciążają psychicznie i tracą swą zabójczą cechę rozproszenia i dorywczości. Ktobądź miał sposobność przyjrzenia się kolejno frasośliwej dreptaninie debiutantki i celowej, sprawnej pracy doświadczonej, roztropnej matki czy gospodyni, — zrozumie, czemu się to dzieje, że... jednej tam „szydła gołą”, gdzie drugiej „brzytwy nie chcą“...

Trzecie zło, to... że od dzieciństwa udręczone i przybite krzątaniem panny Ale, którym mąż nie pomaga, bo wyrósł w czasach, kiedy tylko mężczyzna pracował poza domem — a kobieta z licznym sztabem służby — w domu, gdy staną się paniami Alami... chowają swoich Zdzisiów na modłę starodawną, wychowując tyranów, by się później na tyranję uskarżać. Tak nie powinno być: to jest zło zasadnicze, które należy tępić, propagując równouprawnienie dziewczynki, bez którego równouprawnienie kobiety stać będzie zawsze na glinianych nogach. Jakże wyrosnie istota, duchowo niezależna, z dziewczynki, już w piątym roku życia przyuczanej nie do podziału pracy, tylko do bezwzględnej podporządkowania się braciszkowi, którego matka oddaje jej w dodatku „pod opiekę” — która zwykle bywa... policyjną: — Zosia powie mamusi, jeżeli Zdzis...

Na zakończenie — parę uwag. Prawdą jest, że niedostatek może wpływać deprymująco na twórczość, wewnętrzne rozwijanie się, duchowe wzloty — zarówno kobiety, jak i mężczyzny, — ale i pieniądze, torując drogi raczej użycia, niż życia, zwłaszcza przy przekroczeniu pewnego, trudnego do określenia quantum, jeszcze pewniej zabijają i twórczość, i tężyznę.

Na zapytanie, czy nie należy zrezygnować z prawa i obowiązku osiągnięcia pełni rozwoju swych możliwości, by ofiarnie oddać się drobiazgom, rozpychającym „szare wory dnia powszedniego” — odpowiedziałabym bardzo głośno: — Niel — Ten rodzaj poświęcenia się przynosi życiowy deficyt, gdyż istota niedorozwinięta dać może jedynie problematyczne wartości. Trzeba umieć samej zdobyć — żeby mieć co ofiarować.